Numer 45. Nalez. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 8 Listopada 1931

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Nieco długo.

— Co się panu w tej pannie niepodoba?

— Jej przeszłość.

— Co pan mówi! Przeszłość jej bez zarzutu.

— Może, ale nieco za długa.



Ten lepszy.

— Wieleśta wzieni za kobyłę, Jakóbie?

— 200 złotych i kwartę wódki dał mi Icek Abramowicz.

— A toć wam Michał Skrzepkowski dawał 205 złotych.

— Dawał, juści, ale bez wódki.



Z litości.

Młody człowiek do ojca kilku córek, który go nakłania do wzięcia za żonę jednej z nich:

— Ależ, panie, toć Matylda to prawdziwa jędza, z jakiegoż więc powodu miałbym ja nałożyć na siebie takie pęta na całe życie?

— Patrz na moje siwizną pobrószone włosy, czyż niema u ciebie uczucia litości dla biednego starca, który te pęta już 28 lat nosi?

Dobra wymówka.

Sędzia: Czemuś żonę zabił?

— Bo bestja była bardzo zła.

— Toś ją mógł porzucić, ale nie zabijać.

— Panie sędzio — mówi chłop — ja jej nie mógł porzucić, bom jej przysiągł, że jej nie opuszczę aż do śmierci.



W szkole.

Nauczyciel: Ile jest 2 a 3?

Wałkowi przedłuża się twarz.

Nauczyciel stara się mu przyjść w pomoc: Jeżeli masz dwa kawałki chleba z masłem i matka dołoży ci jeszcze trzy, to ile będziesz miał?

Wałek: Wtenczas będę miał właśnie dosyć.

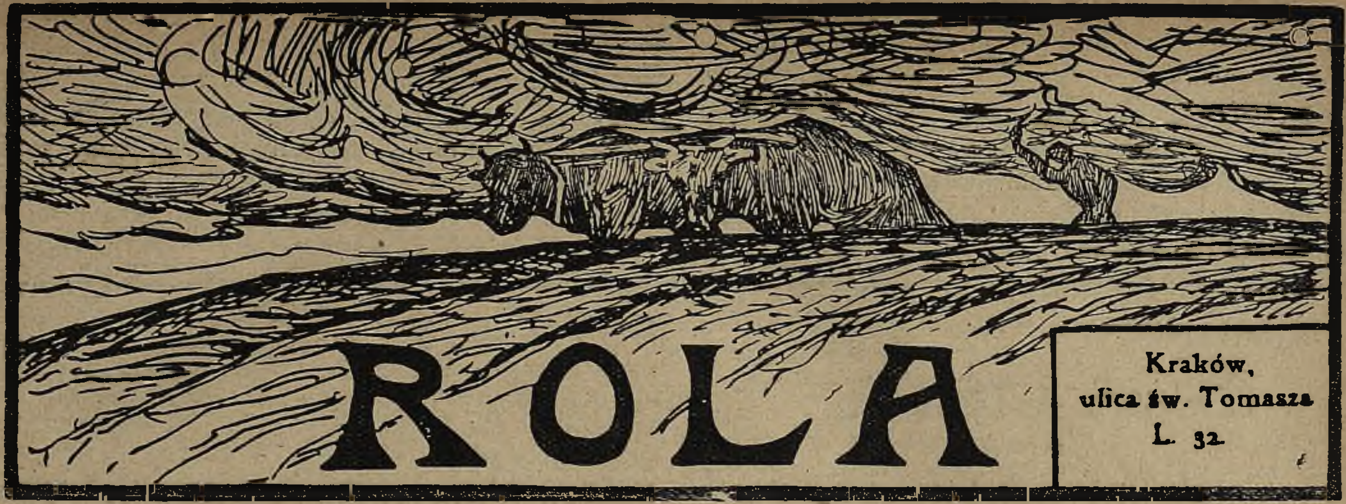


Testament.

Pewien adwokat zapisał cały swój majątek na korzyść domu warjatów. Zapytany dlaczego to uczynił, dał następującą odpowiedź:

— Ponieważ z głupich zebrałem mój majątek, więc niech go głupcy odziedziczą.

Numer 45. Rok XIV. Kraków, dnia 8 Listopada 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Święto Wolności.

Jedenastego listopada bieżącego roku upływa trzynaście lat od chwili odzyskania naszej państwowej Wolności, od chwili zmartwychwstania naszej Ojczyzny. Przed trzynastoma laty powrócił z niewoli niemieckiej dzisiejszy marszałek Polski, Józef Piłsudski, i objął natychmiast władzę nad wojskiem w Warszawie. Wojska tego była garstka tylko, dwa pułki, t. zw. polnische Wehrmacht i garstka młodzieży. Temi szczupłemi siłami, rozbroił polski wódz naczelny, Piłsudski, oddziały niemieckie na terenie b. Kongresówki.

W państwie naszem panowało wówczas ogólne zamieszanie. 7 listopada mianował siebie I. Daszyński prezesem ministrów w słynnej lubelskiej republice. W kraju mnożyły się rozliczne napady rabunkowe, na wszystkich granicach naszego zmartwychwstałego państwa rozgorzały uciążliwe walki. W Poznańskiem 27 grudnia 1918 r. wybuchła walka przeciw najeźdźcom Niemcom, których zdołali Polacy wypędzić z granic księstwa Poznańskiego, od południowego zachodu trwały walki z Czechami, pragnącymi skorzystać z ciężkiego położenia Polski, by zagarnąć możliwie najwięcej ziemi. W nocy z 31 października na 1 listopada, pułki ruskie przy pomocy rozlatującej się Austrji, opanowały Lwów, chcąc zdobyć tron ukraiński dla arcyksięcia Wilhelma Habsburga, tak zwanego Wasyla Wyszywanego. Bohaterska młodzież polska, Orlęta nasze, często nieletnie dzieci, dziewczynki, zdołały wspólnie z garstką naszego wojska wypędzić Rusinów ze Lwowa 21 listopada. Lecz wojna polsko-ukraińska trwała nadal. Od wschodu za ustępującymi Niemcami posuwały się oddziały bolszewickie, z któremi rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka.

Koniecznie potrzeba było tworzyć coraz nowe oddziały obrońców, dopiero odzyskanej Wolności Polski. Polska, w chwili zawierania pokoju z bolszewikami, miała już miljonową armję.

Jak odzyskanie wolności zawdzięczamy szczęśliwemu dla nas zrządzeniu Opatrzności, że rozbiorcze państwa, których zbrodnia rozbiorów Polski łączyła lat 120, stanęły do walki ze sobą, tak znowu utrwalenie tej wolności zawdzięczamy męstwu, bohaterstwu naszego Narodu. Tak wyglądało pierwsze Święto Wolności w odrodzonej Polsce.

A dzisiaj. Dzisiaj mamy przeszło 250.000 armję, gotową w każdej chwili stanąć mężnie w obronie wolności, mamy wiernych przyjaciół we Francji i Rumunji. Wewnątrz państwa panuje ład i porządek, rząd silną ręką ujął bieg wypadków.

Niektórzy przesadnie oceniają potęgę naszych wrogów, Niemiec i Sowietów. A wiemy, że Niemcy mordują się wzajemnie, Rosji zagraża głód, a Polska jest obecnie tak potężną, jaką już dawno nie była. Niema więc powodu do przesadnych obaw. Prawda, że wrogowie pragnęliby nas zniszczyć, lecz nie mają i mieć nie będą dostatecznych sił do pokonania nas, jeśli my sami im nie dopomożemy naszą niezgodą i wadami. Wielki nasz powieściopisarz, Wł. St. Reymont, tak się zapatruje na otoczenie narodu wrogami:

„Naród, aby mógł żyć, rozwijać się i zwyciężać, musi być smagany batami nienawiści, musi być otoczonym kołem szakalów, gotowych go rozszarpać, a nie aniołami, nucącymi hymny pokoju i miłości".

Słowa Reymonta uzupełnia sławny również, współczesny powieściopisarz, Kornel Makuszyński:

„Zbudźmy w sobie godność wielkiego narodu, który przez tysiąc lat kuł w sobie młotem serca jeden cel i osiwiał w szukaniu mądrości, przeto ją znalazł w pożarze świata, znalazł ją na dnie wiel-

kiego bólu — i teraz duszę ma mądrą, jasną i w mądrości tej wielką, co w historji nie zaczyna od walki kogutów, co z ziemi krwią i potem oblanej, nie czyni areny, lecz ją zbożem obsieje“.

Tak nas uczą nasi wielcy w Narodzie, nasi wychowawcy. Polak nigdy nie pragnął i nie pragnie walki zaborczej, lecz nad życie umiłowanej Wolności Ojczyzny wydrzeć sobie nigdy nie pozwoli, lecz postąpi tak, jak mu nakaże godność wielkiego Narodu. Tak postępując, czcić będziemy w późne wieki Święto Wolności naszej Ojczyzny, czcić i uroczyście obchodzić będziemy dzień 11 listopada, dzień pamiątkowy zmartwychwstania Ojczyzny.

Jan Pelczar.

MARJA WALLER.

DWA LISTY.

(Nowelka).

W zacisznym, wytwornie umeblowanym buduarze, zaciemnionym wykwintnemi koronkowemi storami, zarzuconym mnóstwem luksusowych gracików, siedziała wtulona w róg wygodnego szeslongu, urocza właścicielka tego gniazdka, pani Zuza K.

Chroniła się tutaj często, znużona gwarem wielkomiejskiego życia. Tu odpoczywała, tu stawała się sobą, zdejmując z twarzy męczącą maskę konwenansu: zdawkowy uśmiech wymuszonej wesołości.

Urocza Zuza K. była bowiem gwiazdą najlepszego zespołu kabaretowego stolicy.

Najpiękniejsze piosenki, pełne życia i dowcipu, z refrain'ami śpiewanemi zwykle przez całą publiczność, najpowabniejsze pozy taneczne, rodziły się w pięknie ondulowanej główce, w tym właśnie zakątku.

Zdawałoby się, że piękna, gorąco oklaskiwana „diva“, ukazująca w swym niezrównanym uśmiechu przepych drobnych równych ząbków, kusząca młodocianemi kształtami klasycznie zbudowanego ciała, przemiła i urocza w każdym ruchu, dosięgła szczytu szczęścia i zadowolenia.

A jednak...

Pani Zuza nie była szczęśliwa!

Bliżsi znajomi posądzali ją o jakąś nieszczęśliwą miłość. „Diva“ jednak zaprzeczała energicznie.

— Kocham kwiaty i słońce — mawiała nieraz.

Widać jednak, że była to zdawkowa odpowiedź, gdyż ani na brak kwiatów, ani słońca, nie mogła się użalać, a przecież...

— Wiesz Zuza! ten młody książe X szaleje za tobą! — mawiały jej często przyjaciółki. Gdybyś tylko zechciała, miałabyś go wraz z wyładowanym portfelem u stóp.

Zuza ruszała pogardliwie ramionami.

— Co mi z niego? Kochanka nie chcę, a na męża nieodpowiedni!

— Jakaś ty szczęśliwa, Zuza!

— Szczęśliwa?! Dlatego, że nie chcę księcia i jemu podobnych?!

— Dlatego właśnie, że możesz ich niechcieć!

Tak, to było prawdą. Piękna Zuza mogła niechcieć! Niewielki zasób gotówki, jaki otrzymała od rodziców wraz ze starannem wychowaniem, pozwolił jej utrzymać niezależność do tego czasu, zanim dzięki wrodzonym zdolnościom stanęła na własnych nogach. Żadne upokorzenie nie towarzyszyło początkom jej karjery. Była zupełnie niezależną. Szła w przyszłość z podniesioną dumnie głową.

Zazdroszczono jej z całego serca.

Początkowo sama miała złudzenie szczęścia. — Urzeczywistniły się marzenia dziecięce... Z czasem jednak przyszło rozczarowanie!

Stopniowo zaczęły ją nużyć rozmowy czcze i płoche i zaloty brutalne nieraz, pewnych siebie potentatów fortuny... Męczyła ją rola cacka błyskotliwego, którego nikt nie brał serjo, a które zdobyć chciał każdy z osobna...

Niezwykła orchideja, w butonierce smokinga.

Sama tego chciała! Sama wykreśliła ze swego życia wyraz szczęście!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Było to przed dziesięciu laty...

Wówczas właśnie, gdy jako młodziuchna szesnastoletnia dzieweczka, stawiała pierwsze kroki na deskach scenicznych.

Zwiedzała właśnie wystawę Sztuki. Szczególnie zainteresował ją pawilon rzeźby. Z pomiędzy wielu doskonałych prac, jedna uderzyła ją śmiałością formy, doskonałością wyrazu i skończonem pięknem w ujęciu postaci.

Była to grupa młodocianego rzeźbiarza Adama Żuka, przedstawiająca pocałunek. W postaciach mieściło się z jednej strony tyle prawdy i mocy, a z drugiej tyle oddania i słodkiej bezsilności, że zdawały się żywemi cudami natury, zaklętemi w marmur...

— Genjusz! co za siła! Co za władcza potęga dłoni, by zakuć w zimną bryłę tak niezwykłe piętno prawdy — szepnęła Zuza, na widok „Pocałunku“.

Godzinami siedziała przed grupą, a rozentuzjazmowane oczy, chłonęły przedziwny urok splecionych uściskiem postaci...

Odchodziła i wracała znów nienasycona... Znała już każdy niemal szczegół, każdy fałd, każde zagięcie...

— Wiesz co ci powiem Zuza? Ta z „Pocałunku“, dziwnie podobna do ciebie! — zauważyła jedna z przyjaciółek.

Tak. Rzeczywiście. Dziwne, niezwykłe podobieństwo!

Te same zarysy kibici, ten sam wykwintny profil...

Mężczyzna miał rysy pożyczone ze starożytnych fresków, w grobowcu Tutankhamena....

Ją zaś nie obchodziło, ani podobieństwo, które wywoływało dwuznaczne porozumiewawcze półuśmiechy na twarzach obecnych, ani zdziwienie przyjaciółek, zaintrygowanych jej nagłemi wizytami w Pałacu Sztuki... Szła, bo iść musiała! Grupa stała się czemś, co wplotło się w jej życie, co stało się głodem duszy...

Wyszukała nawet zaciszny kącik, z którego obserwacja wypadła najlepiej. Wtulona w miękki przytulny fotel, siadywała wpatrzona w subtelną prawdę nieruchomych ciał, którym czający się po kątach mrok, dodawał wyrazistości...

Raz kącik swój zastała zajęty.

Spojrzała gniewnie i znieruchomiała... Patrzyły na nią nieme zadumane oczy w oprawie migdałowej, oczy opromieniające twarz szczupłą o rysach starożytnych...

Tymczasem nieznajomy tknięty tą samą widać myślą zerwał się gwałtownie, a duże oczy rozwarły się szeroko, z wyrazem bezgranicznego podziwu...

— Więc ty jesteś? Więc żyjesz? — zdawały się pytać natrętnie, a szczupłą twarz przebiegło nerwowe drżenie.

— Jestem, a jeśli jestem więc żyję! — odpowiedziały równie zdziwione i oszołomione oczy dziewczęce — i pobiegły do grupy, aby skonstatować dziwną analogiczność rysów.

— Pani!

— Panie!

Roześmiali się oboje.

— Pani pozwoli. Jestem Adam Żuk.

— Więc to pan?

— Tak, ja!

— Ale skądże?

— Nie wiem! Gdzieś z prabytu chyba! Taką widziałem cię pani w snach i taką zakułem w marmur.

Wieczorem, dostała kwiaty. Pierwsze kwiaty...

Cudna wiąź storczyków, opłacone może szeregiem przyjemności ubogiego, początkującego rzeźbiarza, mówiła jej tyle, tyle dobrych, miłych rzeczy...

W kilka dni potem list.

„Ujrzałem raz i kocham już" — temi słowy chciałem zacząć mój list do Ciebie o ubóstwiana. Toby jednak było niegodnem ani mnie, ani Ciebie! Bo jam Cię kochał już wtedy, gdym zarysy Twej postaci wydzierał twardej bryle... Jam Cię spotkał po długiej rozłące, Ty, wcielenie mych marzeń, Ty, ucieleśnienie Piękna!!! Nie wiem, którą z Was kocham więcej... nie rozłączam Was: stanowicie jedno! Wiem tylko, że kocham do szału, do zapamiętania! W snach rozkosznych podałaś mi usta w pocałunku, bezsilna, słodka... oddana na niepodzielną własność. A ja wziąłem je, dumny mocą i szczęściem oszalały rozkoszą... Wziąłem je jak talizman na życie całe!!!

(Dokończenie nastąpi).

Mój pierwszy pocałunek.

(Fantazja).

Nie wiem skąd, jak i kiedy, znalazłem się w jakimś zaczarowanym ogrodzie egzotycznym. Wokół nieznane mi kwiaty, drzewa, trawy i rośliny wydawały cudowne wonie, brzemienne balsamem, które mnie oszałamiały i dawały poczucie zupełnej lekkości. Liczne i misternie budowane fontanny tryskały kaskadami tęczowych blasków, a wielobarwne ptactwo wygwizdywało między szmaragdowymi koronami drzew prześliczne melodje. Starannie utrzymywane trawniki, niby dywany perskie, przykuwały wzrok świeżością barwy i przyciągały puszystością każdego do położenia się na grzbiecie i bezfrasobliwego wdechania aromatycznego ozonu. Z prawej strony płynęły ciche tony upajającej muzyki. Otulały one i kładły do grobu wszelkie wady troski i bóle człowieka, a wskrzeszały uczucia wzniosłe, uczucia miłości najgłębszej.

Kierowany słuchem poszedłem w stronę tej, nigdy niesłyszanej melodji. Aleja, którą biegłem w szybkiem tempie, pachniała odurzającymi kadzidłami wschodu i przedłużała się w nieskończoność. Jej żywa naturalna barwa nadana jej przez Stwórcę odbijała w sobie złociste promienie zachodzącego słońca, że każdy listek lśnił się niby kryształ wenecki. Przystanąłem na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Muzyka była już tak blisko i tak wyraźne były jej akordy, że spodziewałem się za momencik zobaczyć jej źródło. Ruszyłem więc corychlej przed siebie. — Przebiegłem jeszcze kilkanaście kroków i stanąłem jak wryty. Przedemną rozciągała się niewielka zieleniuteńka murawa, przecięta w pośrodku ścieżką, wysypaną drobnoziarnistym żwirem. Przy końcu ścieżki, która wpadała do jeziora, stały lub siedziały ułożone w piękną grupę i wspaniałe przybrane dziewice i swojemi szlachetnemi palcami przebierały po strunach melodyjnych harf.

Od strony jeziora, w środku którego znajdowała się wyspa z zamkiem, okolonym gigantycznymi drzewami, wyszedł i postępował ku mnie jakiś człowiek z odkrytą z uszanowaniem głową i spuszczonym niewolniczo wzrokiem. Mimowoli spojrzałem po sobie i straciłem resztę krytycznego sądu. Miałem bowiem na sobie ubiór, jakiegoś tureckiego, perskiego, czy indyjskiego księcia. Atłas, jedwab, safjan, djamenty, szafiry, opale, perły i inne nieznane mi bliżej drogie kamienie poszywane złotem i srebrem w jednolitą zachwycającą całość, olśniewały mi oczy, że omal dusza nie wyskoczyła mi z podziwu i radości prawie dziecinnej.

Człowiek ów podszedł do mnie na odległość kilku kroków, ukłonił się jak najniżej i nie rzekłszy ani słowa, ruchem ręki wskazał mi, bym szedł w stronę jeziora. Uczyniłem to, ciekaw, co będzie dalej. On zaś w pewnem oddaleniu podążył za mną.

Podczas tego i później zjawiskowe harfiarki nie przestały grać, lecz przeciwnie czarowne tony, o całej gamie symfonicznym dźwięcznym odcieniu rozlegały się donośnie ponad łączką, jeziorem, lasami i niknącym w sinej mgle horyzontem. Przed samem jeziorem mój przewodnik wyprzedził mię nieco i wskazał łódź, zbudowaną na sposób weneckich gondoli, lub japońskich dżonek, któremi przejeżdżają się bogaci samurajowie, czy nawet sam mikado. — Stanąłem na krawędzi łódki; ta zakolebała się, jak panna w ramionach i poruszyła równą, jak stół i czystą, jak zwierciadło taflę jeziora, że wiotkie fale kręgami pogoniły wokoło. Odchyliłem firanki jedwabnego wigmanu, umocowanego na środku łodzi i zaglądnąłem do wnętrza, spodziewając się odkryć choć rąbek tajemnicy, ale wewnątrz było cicho i pusto. Wszedłem więc bez obawy i usadowiłem się wygodnie i pompatycznie, niby jaki radża hinduski na miękkich wschodnich makatach. Odczułem następnie, że mój cicerone, jak się przewodnika w Neapolu nazywa, wszedł także do łodzi, chwycił za wiosło i odbił od brzegu.

Rzeczywiście łódź ruszyła i popłynęła lekko, jak motyl i bez najlżejszego szmeru w dal. Byłem w wigmanie sam i wobec głębokiej ciszy. Chciałem zebrać pamięć, ale napróżno. Strzępy rozproszonych myśli błąkały się, jak owce pogubione po bezdrożach rozmaitych scen, obrazów, widoków i przypomnień.

Ciągle jedno i to samo stawało mi przed oczyma duszy — obracający się dookoła swej osi tajemniczy znak swastyki. Znajomość symbolistyki z nad świętej Ghangi mówiła mi:

— To symbol wiecznego, jak świat, życia, a także bóstwa miłości — słońca.

Zaś rozum przerywając pytał:

— Ale dlaczego ten symbol się zjawia, a nie inny o innem znaczeniu? Lecz wizja milczała. Przetarłem czemprędzej oczy i znowu spojrzałem po sobie. Duży jakiś kamień osadzony u samego wierzchołka ręko-

jeści kindżału, zwisającego u mego lewego boku, przyciągnął mój wzrok i moją uwagę, że oglądałem go dokładnie, ale nawet nazwać go nie umiałem, bo nigdy podobnego nie widziałem w życiu. Od tej chwileczki myślenia, aż pot kroplisty wystąpił mi na skronie i czułem duszność, jak przed nawałnicą. Bez świadomości odchyliłem firanki wigmanu i z zachwycenia rozdziawiłem szeroko usta. Punktem, do którego zdążaliśmy, była wysepka z pałacem, parkiem, kwiatami, sadzawkami i innemi cudami zapewne, obecnie już bardzo blisko się znajdująca.

Nie mogłem nacieszyć się widokiem widzianej części pałacu, a mianowicie górną częścią ścian, dachami, wysmukłemi minaretami, wieżyczkami i kopułami. Był to, prawdziwie powiedziawszy rarytas architektoniczny. A olbrzymi gaj wkoło, jakby do marzeń stworzony, szumiał mi na powitanie śliczną gędźbę czyjegoś uczucia.

Ledwie dosłyszalny stuk, małe wstrząśnienie i łódka stała u brzegu. Cicerone uniżenie zaprosił mnie na brzeg, a następnie lekko w dłonie klasnął. Nagle, niby z pod ziemi, lecz bez hałasu, zjawili się przed nami, czarni, jak heban murzyni, z zawojami na głowach i przewiewnych opaskach na biodrach, z palankienem szafirowym, którym nie powstydziłby się jechać największy dostojnik państwa zielonego smoka. Przewodnik, zawsze mając ukłon w pogotowiu, wskazał mi ręką palankin; uczyniłem zadość jego życzeniu i znalazłem się w środku. Murzyni bez wstrząsów unieśli palankin i podążyli poprzez pachnący woniami szecherezady gaj, ku widniejącym marmurowym kolumnom pałacu. Cicerone pieszo postępował za palankinem. Naraz serce samodzielnie, wiedzione jedynie uroczystem przeczuciem zbliżającej się doniosłej chwili, zabiło mocno i energicznie potężnem tętnem żywej młodzieńczej krwi. Wszelkiemi siłami starałem się pochamować ten rozpęd, ale wysiłki moje były bezowocne.

Począłem więc przygotowywać się do stawienia czoła, choćby najgłupszej sytuacji. Naraz, po kilkuminutowej jeździe pod baldachimem tysiącletnich drzew, ukazał się moim oczom pałac, cały budowany z marmurów i szlachetnych kopalin. Fronton zdobiły delikatnie rzezane postacie bóstw, nimf, syren i najrozmaitszych rodzaji gzymse, zaś w dużych oknach odbijały ostatnie promienie, gdzieś zachodzącego słońca, wielobarwne, technicznie sharmonizowane witraże. Gigantyczne kolumny przybrane były girlandami zieleni, wieńcami, kwiatami, między którymi strzelały iskrami ognie bengalskie. Przed pałacem znajdował się duży dziedziniec, wysypany równiótko, lekko skrzypiącym pod stopami piaskiem. W środku tegoż tkwiła duża fontanna, której cztery fauny wydmuchiwały strumienie orzeźwiającego zdroju. A wokoło niej kiwały się wyrozumiałe, wysokopienne palmy.

Skoro nas tylko zobaczył dyrygent ukrytej w cieniu orkiestry, dał znak i zagrano mi powitalną fanfarę. Palankin szczęśliwie stanął przed wejściem pałacu. Wysiadłem, a przewodnik wskazał mi otwarte podwoje. Poszedłem. Przewodnik prowadził mnie poprzez kurytarze, sienie, sale, krużganki, komnaty i różne zakamarki. Wreszcie zatrzymał się przed jednem wejściem, zakrytem zupełnie ciężką portjerą, ukłonił się głęboko i odszedł. Wahałem się przez chwilę, lecz wkońcu odchyliłem zasłonę i wszedłem do wnętrza.

Gdy tylko stanąłem za progiem, pierwszym przedmiotem, jaki ujrzały moje oczy, była pod przeciwną ścianą siedząca na podwyższeniu, niebiańskiej urody młodziutka dziewica. Ubrana była w przewiewną, jak przędza pajęcza, niebieską suknię, zdobną sznurami wielkich pereł. Zgrabne, małe stopy tkwiły w bucikach kunsztownej roboty, przybrane bezcennemi kamieniami Wschodu. Miała jasne włosy, miękkie, splecione w długie pełne kosy, które spływały jej po ramionach, aż do kolan, zarysowujących się poprzez delikatną przędzę sukni. Twarz — ach! jak żyję nie widziałem nawet w marzeniach podobnej — była, jak już powiedziałem, niebiańskiej urody, o rysach subtelnych, wyrażających głęboką, najszczerszą miłość i radość życia. Oczy duże, czarne, rozumne i roześmiane przykuły mnie do puszystego dywanu, że stałem, jak słup soli z żony Lotowej.

Ona, zobaczywszy mnie, wstała z siedzenia, wyciągnęła radośnie, jaknajszerzej smukłe ramiona i rozchyliwszy różane usta, ukazała dwa szeregi bielutkich ząbków, w czarującym uśmiechu.

Nie mogąc ruszyć naprzód ani kroku, padłem przed nią na kolana i opuściłem nieśmiało powieki, tak byłem przejęty jej zjawiskową urodą. Wkrótce uczułem, jak czyjeś dłonie przesunęły mi się po włosach, a następnie wysiłek zdążający do podniesienia mnie na równe nogi. Powstałem więc posłusznie i podniosłem oczy. Ona stała tuż przedemną, świeża, jak majowy poranek i, otworzywszy usta, przemówiła słodko w obcym języku, ale ja, choć nigdy tej mowy nie słyszałem, rozumiałem wszystko. Mówiła do mnie:

— Ukochany, jak długo musiałam czekać na ciebie! Zdawało mi się, że umrę już z tęsknoty, a ciebie się nie doczekam.

Zgłupiałem, ale trzeba było coś odpowiedzieć, i jak najtkliwiej wyszeptałem, więcej duszą niż ustami:

— Ja zaś, najdroższa, pędziłem, jak ptak, do ciebie, gnany nie dającą się niczem stłumić tęsknotą.

— Więc bierz mię teraz i wynagródźmy sobie czas długiej rozłąki.

Chciałem się wstrzymać, lecz ręce same oplotły jej wiotką kibić i przycisnęły silnie do mej postaci, że czułem całą mą jaźnią jej wonne ciało, falujące piersi i bijące raźno, gorącem uczuciem serce. Usta same poszukały jej ust i połączyły się w rozkosznym, ekstatycznym pocałunku. Chciały wyssać do dna wszystką słodycz, jaka była przygotowana im zdawna, więc piły i piły z rozwartego puharu miłości, czarowną rozkosz upojenia.

A wokoło nas snuły się cienkie smugi, wychodzące z ustawionych między zielenią naczyń kadzidlanych.

Naraz uczułem z nadmiaru wrażeń zawrót głowy, zobojętnienie wzroku i bezwładność w członkach. Postać dziewicy zmieniła się na rzadką mgiełkę, która z łatwością przesuwała mi się między palcami. Wreszcie cała sala zakręciła się wokoło i wpadłem w trans medjumiczny, czy letarg. Trwałem tak długą chwilę i powoli począłem przychodzić do siebie. Otworzyłem oczy, a uszy usłyszały ranne pianie koguta i rzecz się cała wyjaśniła natychmiast. Zgrzytnąłem ze złości zębami:

— Do djabła, już poczynałem wierzyć, żem w raju mahometańskim, przy łonie najpiękniejszej huryski, a tu masz... rozczarowanie. Ładny epilog! — Hm, jedno mię tylko zaciekawia, czy prawdziwy, ziemski pocałunek jest też taki słodki i upajający, jak we śnie? Muszę spróbować, choć byłem do niego wrogo usposobiony.

Z tem postanowieniem wyskoczyłem z pod kołdry.

Edward Cygan.

Atak kosynierów na armaty.



. Do zwycięstwa na wojnie potrzeba przedewszystkiem dwóch rzeczy: dobrej głowy i dobrych nóg. Głowy, którаby kierowała ruchami wojsk i nóg, któreby potrafiły szybko w myśl rozkazów wodza przenosić żołnierza z miejsca na miejsce. Dobra głowa i dobre nogi przyczyniły się niejednokrotnie do stanowczego zwycięstwa. Dowodem tego może być zwycięstwo nasze nad bolszewikami w 1920 r. pod Warszawą. Nie dość było obmyśleć dobry plan działania, a obmyślili go wodzowie wojsk naszych, ale trzeba było, po rozgromieniu wroga, dobrych nóg, aby nieprzyjaciel nie zaznał wytchnienia, aby zmęczony, rzucał broń i szedł w niewolę swojego przeciwnika. Dzięki dobrym nogom dokazał tego nasz młody i niedoświadczony jeszcze żołnierz.

Bywają chwile w czasie walk wojennych, gdy trzeba nieprzyjaciela nagle zaskoczyć tak, aby on, oszołomiony niespodziewanym atakiem, stracił wszelką orjentację, aby dał się pokonać bez zbyt wielkiego oporu. W takich zaskoczeniach okazali się Polacy wprost znakomitymi. Trudno wyliczać tu brawurowe czyny naszych praojców, ale wystarczy wspomnieć o trzech, znanych każdemu, kto tylko zna historję polską.

Czyż nie wspaniałym był atak naszych ułanów na wąwóz Samossierry w Hiszpanji w czasie walk napoleońskich. Oto na rozkaz cesarza Francuzów rzucili się nasi rodacy na ziejące ogniem armaty. Legła ich część pokotem, ale większość wpadła na karki Hiszpanów i sforsowała przejście przez wąwóz w głąb Hiszpanji.

Drugi, sławny czyn naszych ułanów to sławna szarża pod Rokitną. Na potrójne okopy rosyjskie rzuciło się 70 dzielnych rycerzy, a choć większość ich padła pod kulami wroga, to przecież 15 z nich wypędziło żołnierzy rosyjskich z okopów i ułatwiło ich posiadanie wojskom sprzymierzonym.

Ale tu odwagę ludzką popierała rączość nóg końskich. Tej podpory nie miał chłop polski, kiedy w czasie boju racławickiego kazano mu stać i czekać bezczynnie na dalsze rozkazy. A chłop polski jest ogromnie ambitny; nie chce on, aby kto wyciągał kasztany z ognia. Praojcowie nasi, widząc zmaganie się żołnierzy naszych z Moskalami, nie strzymali, ale bez rozkazu, a właściwie wbrew rozkazowi, rzucili się jak huragan, na ziejące ogniem paszcze armatnie. Kto miał paść, padł, ale komu nie sądzona była jeszcze śmierć, wsiadał na łby kozackie, ciął szablą po karkach, a w rezultacie przyciągnięto przed oblicze Kościuszki kilka zdobytych armat.

Rozmach, siła nóg, brawura chłopska przyczyniły się walnie do zwycięstwa pod Racławicami.

Chwilę przed samem uderzeniem naszych kosynierów na działa rosyjskie widzimy właśnie na powyżej zamieszczonym obrazku.



O chłopcach.

Zbyszek.
Śpiewa cudnie niczem ptaszek
Kocha piękno, sztukę, śpiew
Nierozumie co to gniew.

Jahek.
Bardzo czuły kochanek
Gdy pokocha raz prawdziwie
Ożeni się i żyje szczęśliwie.

Kazimierz.
Na punkcie miłości prawdziwy zwierz
Nienasycony miłością jednej kobiety
Dobiera zwykle całe komplety.

Mietek.
Posiada wielkie powodzenie wśród kobietek
Cieszy się z tego zasmuca innych
Naturalnie mniej przychylnych.

Staszek.
Czasem wypróżniać lubi kieliszek
Ale tylko sezonowo kiedy ma przykrości
Pierwszy chłopak do różnych przyjemności.

Wiktorek.
Trochę zawielki posiada ozorek
Tajemnicy nie utrzyma, opowie każdemu
W niczem nie można ufać takiemu.

„Staszek“ (Stanisław Golachowski).



Maciek Bzdura gada:

Juzem se ozmyślał, cyby to niedobrze było mieć na zimę własne dziecko. W Psiej Wólce dzieuchów dość, co to na chłopaków jaze... jaze... toby tam o jakiego takiego pajtasia nie było trudno. Ale jagem się rozejrzał po wsi, tom się przekonał, ze z berbeciami to ino kłopot i strapacyja. Ty mu powiedz to, to on ci akuratnie inacej zrobi. Ty mu nie kaz tego rusać, to on akuratnie rusy. Co prawda, to nie wszyćkie dziecka takie, ale większość takich.

Jakby jednak kto z ręką na sumieniu badał, toby się przekonał, ze po największej części nie winno temu dziecko, ale tatuś abo mamusia, a juz najczęściej mamusia. Bo przyźryjmy się po nasych chałupach, co się dzieje.

Tatuś padają:

— Kajtuś, a idzino i dej ogonom zryć, bo oździwiają pyski nicem organista na pogrzebie!

A Kajtuś na to:

— Idźcie se sami! Ja juz ni mogę gicalami ruchać, tagem się uselentał.

Słysy to mamusia i prawi:

— Tybyś ino dzieckami orał, bycybyku, a samemu nie chce ci się nic zepchnąć!

Słysy to Kajtuś i nabira rezonu, bo wie, ze mamusia jego stronę trzymają, a takze i to wie, ze ta sama jego mamusia mają na tatusia jakisik sekretny sposób, ze tatuś zawse zrobią to, cego chcą mamusia.

Casem bywa i inacej. Naprzykład tym razem powiadają mamusia:

— Ociec! zerznąłbyś Walkowi dudy, bo powsinoga nic nie robi, ino za dzieuchami po zapłociu ugania!

A ociec wtedy:

— Ugania, bo jego cas! A ty dzieuchom nie zazdrość, bo juz twój cas na wieki wieków amen minął.

Słysąc to Waluś, dalejze na beśtefranty, a matka mało se pazurów nie ucharuje, robiąc wszyćko samusieńka.

A casem jesce gorzej. Jak jednemu i drugiemu dryblasowi święty pamięci ojca zabraknie, to to bidne matcysko opuści usy na kolana i pozwala robić swojem kaniackom wszyćko, co się im podoba. Ona charuje od świtu do nocy, trapi się o nich i za nich, a taki dryblas, cy on chodzi w spodnicy, cy w portkach, często gęsto, nawet o sobie nie pomyśli. Bidne matcysko nie ino o zarcie musi się mu postarać, ale nawet i o wselkich naprawkach i o pościeleniu wyrka, i o wsyćkiem pomyśleć, bo takiemu jednemu i drugiemu kaniackowi nic się robić nie chce. Ale i tu mniej winno dziecko, a więcej matka. Grzysy ona i to bardzo zbytnią dobrocią serca, jeśli swego darmozjadka nie przyzwycaja do troscenia się o samego siebie. A powinna pamiętać o tem, ze trudno jej do samej śmierci choćby nawet najukochańsego brzdąca na cycusiu chować.

A takich tatusiów i mamusiów jest u nas okrutnie duzo, którzy to, niby z miłości, we wszyćkiem dzieciom folgują. A powiadali organista z Psiej Wólki, zacności człowiek, choć pijak okrutny, ze jak ojciec lub matka dziecka nie pierze, to go potem bida pierze, bo kuzden człowiek musi być wyprany, jak ta hadera na Boże Narodzenie. I ja, jak kiedy będę miał dziecko, to jesce nim się urodzi, będę je walił co się zowie, aby potem wyrósł z niego porządny człowiek.

Ale u nas z wielki miłości na wszyćko się dzieciom pozwala, co się jem ino ulubi, i bez to potem te dziecka ni mają szaconku la nikogo starsego, ani nawet la własnych rodziciel, ani la pana organisty, choć to przecie poświęcana osoba.

Nie dość na tem, ze sami rodziciele o swe kaniacki nie dbają, ale jakby ich kto wyręcył, naprzykład prefesur w skole i Franusiowi pod portecki kijaskiem zaglądnął, to moiściewy, zrobią wam takie piekło, jakby kto samemu cysarzowi do gęby napluł. Powiadali starsi, ze są jesce tacy durni ludzie na świecie, ze zamiast podziękować prefesurowi za ukarencenie dziecka, to go jesce po sądach włócą. Zapłaczą oni kiedyś gorzko na swego kaniacka, ale wtedy będzie juz zapóźno.

Trzeba wtedy dzieci wychowywać, jak na to cas, albo lepiej dzieci ni mieć, jak ja, bo wtedy nie bierze się na swoje sumienie odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi.

A kiedy juz tak jest, to chyba i ja jesce te zimę bez własnego brzdąca przebiduję, a z wiesną, jak przylecą bociany, o ile się wszyćkie w ciepłych krajach sarańcą nie wytrują, to i mnie moze który jakie z parę maleństw przyniesie.



Jesienny wieczór.

Zapadł jesienny wieczór. Słońce barw symfonję
Stopiło w mgieł wieczornych opalowej gazie.
Drzewa spoczęły w cichej uwielbień ekstazie,
Wiążąc tęskne poszumy w upojną harmonję.

W parnem powietrzu krążą balsamiczne wonie,
Flet pastuszy, gdzieś dźwięczy na skalnym upłazie,
Na ustrojonym w złote hafty krajobrazie
Czasem jasna sobótka w oddali zapłonie.

W leśnym mroku majaczą konarów arkady
Zwieszone nad bezdenną czarą rdzawej toni,
Tędy tylko zagląda sierp księżyca blady,
Kędy się płoche stado faunów leśnych goni,
Skąd niekiedy dochodzi srebrny płacz najady,
Nagiej bogini lasu — królowej ustroni.

Jul. Józef Gębczak.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Stany Zjednoczone A. P. I.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są najpotężniejszem państwem w Ameryce, a obszarem



Ulica w Nowym Jorku z drapaczami chmur.

swym dorównują całej Europie. Tworzą one rzeczpospolitą związkową 45 państewek mniejszych, czyli stanów i 5 tak zwanych terytorjów, a obejmują pas środkowy Ameryki Północnej na południe od Kanady angielskiej, a południową granicą sięgają po Meksyk. Od wschodu oblewa je Ocean Atlantycki, od zachodu Spokojny. Wzdłuż wybrzeży ciągną się góry, a mianowicie nad Atlantykiem Alegany, nad Oceanem Spokojnym Kordyljery.

Klimat Stanów Zjednoczonych jest mniej korzystny od klimatu Europy skutkiem tego, że lata są zbyt gorące, zimy zbyt mroźne. Pustynia Mohawa w Kordyljerach jest najgorętszym krajem na świecie; między rzeką Missisipi a Kordyljerami ilość opadów deszczowych jest skąpa, skutkiem tego kraina ta zajęta jest przez stepy trawiaste, zwane prerjami; tylko wązki pas nad brzegiem Oceanu Spokojnego ma, osobliwie w zimie, klimat bardzo łagodny.

Kraj, zajęty teraz przez Stany, pokrywały w chwili odkrycia Ameryki puszcze leśne na wschodzie, stepy i pustynie na zachodzie. Dopiero znacznie później stał on się polem kolonizacji dla wszystkich ludów Europy, przed którymi ustępowali pierwotni mieszkańcy, Indjanie, w stepy. Obecnie Indjan tych jest już niewiele, gdyż ich „biali“ wytępili.

Liczba mieszkańców Stanów Zjednoczonych po odkryciu Ameryki wzrastała bardzo szybko, gdyż przybywali tam Europejczycy ze wszystkich krajów starego świata. Najwięcej kolonistów dostarczali początkowo Anglicy, Irlandczycy, Holendrzy i Francuzi, a później Niemcy i Szwedzi; wytworzyli oni razem osobne społeczeństwo i państwo, posługując się mową angielską. Późniejsi przybysze, a między nimi i Polacy, tworzą tylko kolonje narodowe w wielkim oceanie ludzkim. Prócz białej, jest także liczna napływowa ludność rasy murzyńskiej, których jako niewolników sprowadzono w wieku XVIII, a nawet XIX do pracy na plantacjach bawełny i trzciny cukrowej. Mieszkają przeważnie w południowych Stanach, a od roku 1865 są wolnymi obywatelami. Wtedy też zaczęli rozchodzić się po wszystkich Stanach, a w niektórych większych miastach potworzyli nawet oddzielne dzielnice.

Dzielni mieszkańcy Stanów, podsycani ciągle świeżymi siłami kolonistów europejskich, wytrwałą pracą zmienili puszcze leśne w krajach między Missisipi a Atlantykiem na najżyźniejszą rolę, na której uprawiają wszelkie zboża, a na południu kukurydzę, wino, tytoń, dalej jeszcze ku południowi trzcinę cukrową, bawełnę, ryż i pomarańcze. Kwitnącemu rolnictwu, które dostarcza Europie wiele pszenicy, towarzyszy w Stanach wschodnich hodowla świń i krów.

Niewyczerpane skarby żelaza i węgla kamiennego stworzyły w Stanach wielki przemysł fabryczny. Bardzo obfite źródła nafty są od roku 1859 użytkowane. Z olbrzymią produkcją Stanów idzie w parze rozległy handel, z którym tylko angielski w Europie mierzyć się może.

W wschodnich Stanach zgromadziła się ludność najgęściej; wynoszą one tylko jedną czwartą część obszaru, a mieszka w nich cztery szóste części wszystkich mieszkańców. Tam znajdują się tak potężne ogniska handlowe, jak Nowy Jork, Boston, Filadelfja, Baltimore, Chicago (Czikago), Cleweland, Buffalo, Detroit i inne. Stany zachodnie od Missisipi aż po Kordyljery nie mają gęstego zaludnienia; głównem zajęciem mieszkańców jest hodowla koni i wołów opasowych na łąkach stepowych. Jednak i tu budowa kolei i sztuczne nawodnienie oddają coraz więcej ziemi stepowej pod uprawę i już teraz północne części preryj zamieniają się w łany zboża, a na południowych rozszerza się kultura cytryn, pomarańcz i bawełny.

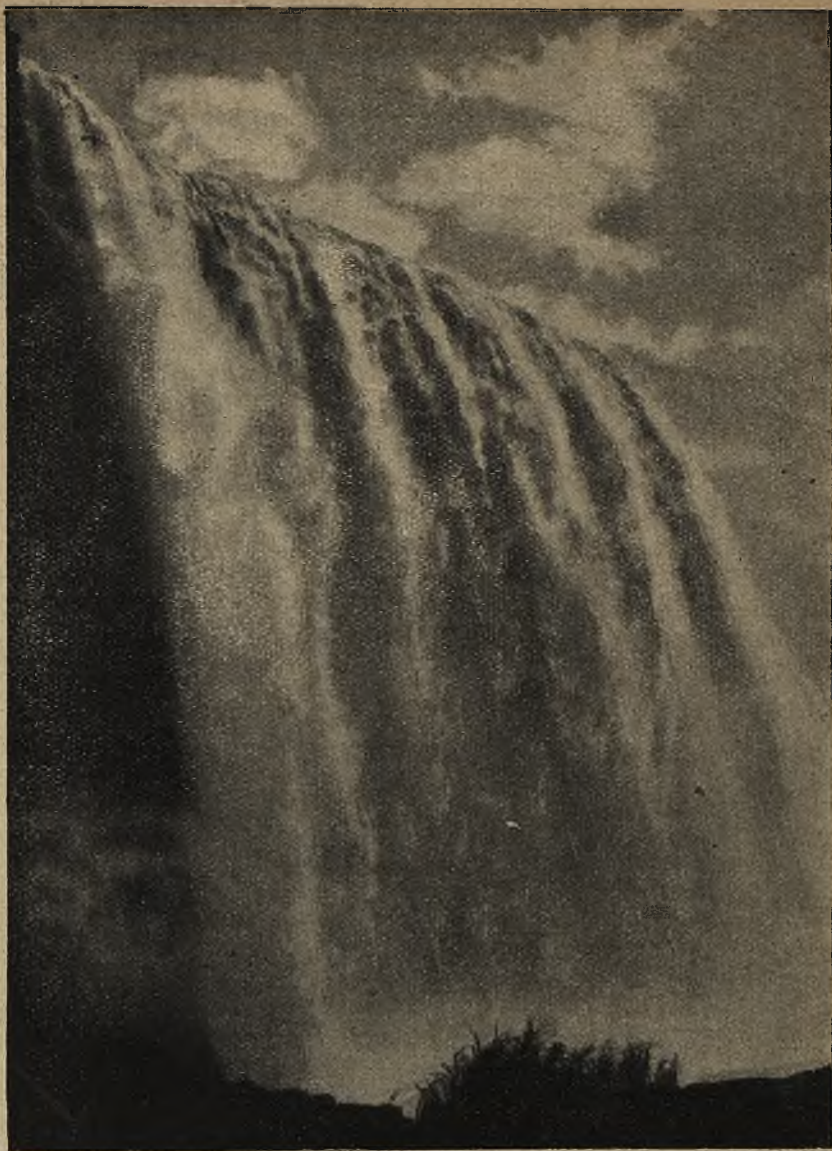
Dzisiejsze Stany Zjednoczone należały dawniej do Anglji, ale gdy rząd angielski nałożył tam na rzecz swego skarbu podatki, wybuchło w roku 1773 powstanie przeciw macierzystemu krajowi. W wojnie tej po stronie powstańców brali udział i nasi rodacy, a między innymi Kościuszko i Kazimierz Pułaski. Wojna zakończyła się porażką Anglików i pokojem w Wersalu w 1776 r., w którym uznano niepodległość Stanów.

Każdy Stan rządzi się samodzielnie i po republikańsku. Stany ulegają ciągłym przemianom. Ludność przepływa przez nie ustawicznie, osiedli się na pewien czas w jednej okolicy i znów wyrusza dalej. Ta płynąca bez przestanku ludność wyrównuje stosunki Stanów i prowadzi do pewnej jednolitości.

Ludność Stanów wyróżnia się znacznie od ludności europejskiej. Pod wpływem stosunków, jakie tu znalazła, wyrobiła w sobie niepospolitą praktyczność, przedsiębiorczość i ducha inicjatywy. — Przybyła tu przedewszystkiem, jako cywilizowana, znalazła w swojej nowej ojczyźnie niewyczerpane bogactwo przyrody, a zniewoloną była radzić sobie sama, by nie spaść do rzędu ludzi barbarzyńskich. Zasilana do tego wciąż wychodźcami europejskimi różnej narodowości, niezadowolonymi ze starego ustroju europejskiego, wciąż się odradza i odświeża. Kraj przyszedł wobec tego wkrótce do wielkiego rozkwitu, a mieszkańcy jego stali się jednym z najbogatszych narodów.

Są jednak i tu dla życia społecznego ciernie i głogi. Wzrost kapitałów wytworzył uwielbienie dla bogactwa, panowanie kapitału, pod którego brzemieniem ugina się jednostka. Chciwość majątku pogłębiła wogóle wyższe etyczne dążenia, zrodziła przekupstwo we wszystkich warstwach, a szczególnie w urzędach. A kiedy jedni posiadają miljony i miljardy, inni muszą pracować na chleb codzienny stokroć ciężej aniżeli w Europie.

Więc i ta swoboda amerykańska nie uszczęśliwia człowieka!



Wodospad Niagary.

Największem miastem w Stanach Zjednoczonych jest Nowy Jork, położony na wąskim półwyspie, utworzonym przez rzekę Hudson i cieśninę, oddzielającą ląd od wyspy Long Island. Nowy Jork rozrasta się z bajeczną szybkością, ale nietylko wzdłuż i wszerz, ale ku górze. Powstają tam coraz nowe gmachy, zwane powszechnie drapaczami chmur, u nas w Europie nigdzie nie spotykane. Jedną z ulic nowojorskich z takimi drapaczami chmur widzimy na naszym pierwszym obrazku. A są to jeszcze nie najwyższe budowle. Niedawno wzniesiono tam gmach, który może pomieścić w sobie 30.000 mieszkańców.

Na drugim obrazku widzimy wspaniały wodospad Niagary. Znajduje on się w obrębie jezior kanadyjskich w Ameryce północnej. Potężne masy wód, odpływające z jeziora Erie do jeziora Ontario, spadają w Niagarze z wysokości 48 metrów. Można sobie wyobrazić, co za wspaniały widok przedstawia taka masa wód, staczających się z tak znacznej wysokości. Szum, huk, hałas, niebywały, a bałwany wodne pienią się i mienią wszystkiemi barwami tęczy. Jest to widok tak piękny, a zarazem groźny, jakiego drugiego wyobrazić sobie nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zemsta czarownicy.

Pewna gospodyni była czarownicą. Parobek służący u niej, wiedząc o tem, a przytem ciekawy, jakim sposobem czarownica leci na Łysą górę, we czwartek, położył się na ławie przy kominie, udając chorego.

Czarownica sądząc, że parobek śpi, wysmarowawszy się maścią, dosiada na pomiotło i wylatuje kominem.

Widział to, a chcąc doświadczyć prawdy, zostawioną maścią wysmarował żarna, które natychmiast wyleciały tąż samą drogą.

Nie przestając na tem, posmarował cielę, lecz i to z wielkiem zadziwieniem jego wyleciało za żarnami.

Już teraz dostatecznie przekonany, wysmarował się cały i wsiadłszy na łopatę, wyleciał kominem i stanął na szczycie Łysej góry.

Widział tam swoją panią przy hucznej biesiadzie, jak z innemi czarownicami i djabłami zajadała i piła, a po skończonej uczcie, jak w pierwszej parze hasała czartowskiego obertasa.

Spostrzegła go nawzajem czarownica, a rozgniewana zdradą i podejściem parobka, zaczarowała go,

uśpiła i pałając żądzą zemsty, zaniosła do jednej piwnicy w Gdańsku, gdzie właśnie tejże nocy złodzieje wykradli bogaty skład wina.

Wkrótce schwytano śpiącego parobka, a mniemając, że on był sprawcą kradzieży, osądzono na szubienicę, pomimo zaklinania, że jest niewinny.

Wyprowadzono go na plac kaźni i już stryczek na szyję mu założono, kiedy parobek przypomniał sobie, że ma jeszcze w kieszeni trochę maści czarownicy, posmarował się zatem, a w tejże chwili porwany pędem wiru, powrócił do domu szczęśliwie i opowiedział swoje zdarzenie.

MICHAŁ JUNJOR SMAGOWICZ.

Janek „Odmieniec".

(Nowela).

II.

A później przyszło wychowanie u Macieja, któremu się wysługiwał, jako pastuch. Popychany, potrącany, bity przez parobków i synów gospodarskich, wyrastał Janek zwolna z chłopaka w tęgiego wyrostka i wszystko może byłoby dobrze, gdyby nie to, że go ludzie nazwali „odmieńcem". Ale Janek nie był samotnym. Miał jeszcze swego jedynego przyjaciela, towarzysza wspólnych wypraw leśnych, wielkiego, czarnego brytana Burtę. Przybłąkał ci się skądciś ten pies coś cztery lata temu, jeszcze jako szczeniak do wsi. Chłopaki wiejskie, złapawszy go, przywiązali do drzewa i poczęli się ćwiczyć w ciskaniu kamieni do niewinnego stworzenia. Wszystko to widział Janek i dobre jego serce oburzyło się na tę niegodziwość. Pod gradem kamieni dotarł do drzewa i uwolnił psiaka od oprawców. Potem uprosił starego Macieja, by mu pozwolił trzymać psa w zagrodzie. Stary zgodził się dość chętnie, bo i sam za jakimś psem się oglądał, gdyż stary Kurta zdechł na wiosnę. Tak więc Burta został przyjęty do zagrody Macieja.

Pies przywiązał się niezmiernie do Janka i nieraz uchronił go przed złośliwemi psotami parobków. Burta warczał groźnie i strzeżył potężne kły, gdy ktoś Jankowi chciał krzywdę zrobić, a raz byłby rzucił się nawet na samego Macieja, gdy ten chciał chłostać Janka za to, że mu krowy w buraki dworskie poszły. Janek, ze swej strony, dzielił się z psem każdym kawałkiem chleba i często wykradał gospodyni co lepsze kęski dla swego Burty.

Rano wczas zrywał się Janek z posłania na stryszku, zlatywał po drabinie na dół, mył się pod studnią, a następnie rąbał drzewo w drewutni. Skończywszy, szedł do stajni i jechał do rzeki poić konie. Słońce już dość wysoko było, gdy Janek wracał od wodopoju. Zwykle właził wtedy do budy, stojącej w podwórzu, i wyciągał ze słomy zaspanego Burtę, wołając: Burta, Burta, a wstawajno śpiochu jakiś! Słoneczko już wysoko, ptaszki śpiewają, a ty się jeszcze wylegujesz! Burta niechętnie otwierał ślipia, prężył grzbiet, przeciągał się, ziewał, ale zobaczywszy znajomą twarz chłopca, zrywał się i wylatywał z budy. Potem rozpoczynał swe ranne harce koło Janka, nie mogąc się doczekać chwili, gdy Janek pożenie krowy na pastwisko.

Tymczasem życie budziło się w zagrodzie Maciejów. W sadzie kos poczynał wygwizdywać swoje melodje, sikorki, skacząc z gałęzi na gałąź, napełniały go piskliwym świergotem. Zaspana Maciejowa wypuszczała drób i kaczki z ogrodzenia, a dziewki z parobkami przygotowywały narzędzia do roboty w polu. Z niskiego komina chałupy snuł się błękitnosiny dym, zwiastując, że Jagna stroiła śniadanie.

Gospodyni tymczasem wypędzała bydło z obory i dawszy skibkę chleba Jankowi, kazywała mu żenąć krowy. Słońce już schodziło z południa, gdy przyganiał je Janek z powrotem. W sieni schodzili się domowi na obiad, dziewki, parobcy, wszyscy przy jednym stole, a tylko jeden Janek siadywał na progu, gdzie posilał się razem z Burtą. Pojadłszy, całował w rękę gospodynię, brał od niej kromkę chleba



...Przywiązali go i ćwiczyli się w ciskaniu kamieni.

na podwieczerzę i razem z Burtą wyganiał krowy. — Tam Janek zwykle ruszał w las, a czynności pastucha spełniał za niego Burta, który uważał, by krowy w szkodę nie wlazły. Przykrzyło się czasem Burcie tak siedzieć i wciąż uganiać na gorącu za krowami, ale gdy przypomniał sobie nakaz Janka, to choć mu senno było, jednak warował posłusznie, z pod oka śledząc pasące się krowy. Czasem tylko kłapnął zębami na napastującą go muchę, poczem znów przymykał oczy. Niekiedy krowy sądząc, że usną, próbowały zbliżyć się ku zielonym łanom owsa, ale wystarczało jedno groźne warknięcie Burty, by trzoda wracała na pastwisko. Boć nie opłacało się zadrzeć z Burtą. Doświadczyła tego na sobie Siwula, gdy raz chcąc przygnieść do ziemi zuchwalca, który odważył się ją spędzić z owsa, doznała takiej nauczki od Burty, że odtąd z największym respektem odnosiła się do niego. Tak więc Burta pilnował krów, a Janek tymczasem błądził po lesie, wsłuchując się w tęskne poszumy lasu, który jakby sam ze sobą rozmawiał. — Wszystko w nim szumiało, grało i śpiewało, tęskniło życiem. W gąszczach słychać było radosne świergoty ptasząt leśnych, cieszących się złotem słońcem, życiem i swobodą, tu i tam rozlegało się gruchanie turkawek lub monotonne, twarde stukanie dzięcioła, którego z pod oka obserwowała ruda sąsiadka wiewiórka.

Janek, wyciągnąwszy się na mchu leśnym, wsłuchiwał się w to życie leśne, gwarne, pełne tajemniczego uroku i tak piękne dla niego. Czasem silniejszy podmuch wiatru trącił koronami drzew, które,

chwiejąc się, szumiały wtedy rozgłośnie. W górze po błękicie nieba pędziły grzywiaste białe obłoki, jak okręty z rozpiętymi żaglami, o których to słyszał Janek od starego organisty, co to już kawał świata zwiedził i niejedno już w życiu widział. Słuchał Janek chciwie gadek organisty o tych cudnościach zamorskich i tylko się mu widzieć nie chciało, by mogła gdzieś istnieć taka wielka woda, to niby morze. Musi całkiem podobne do tego nieba, szepnął Janek do siebie. Żeby to można kiedy te cudności zobaczyć. Hej! wyrywała się Jankowa dusza do tych krajów dalekich, cudnych, radby zaraz na Burtę zawołać i przed się wędrować. Bo i co go tu trzymało! Nic prawie. Tam w tych krajach może ludzie nie są tak źli jak tutaj. I budził się żal w duszy Jankowej, czemu to on nie taki jak inni. Czemu to nie jest takim jak ten Florek od gospodarza, co zawsze taki wesół i uśmiechnięty. Ale pewno, gospodarski syn, a nie byle pastuch „odmieniec". Toć i on silny jest i krzepki, tylko, że go czasem coś tak dusi wewnątrz, rozpiera, że nie wie, gdzie się podziać. Tęsknica go wtedy morzy, za czem — sam dobrze nie wie. On czuje się, jak ten las, w którym wszystko gada, śpiewa, ale Janek nie może do tych głosów dołączyć swego. I w tem był właśnie „odmieńcem". On słyszał to, czego inni nie słyszeli, widział to, czego inni nie widzieli, a nie mógł się zdobyć na zwykły okrzyk radości i wesela z życia, na który zdobywał się byle pastuch z błahej przyczyny. Do jego wrażliwej i subtelnej duszy wszystko mówiło. Słyszał ciche, tajemnicze rozmowy traw i mchów leśnych, zmowy koni polnych, współczuł ze skargami srebrno-listnej osiki i długowłosej wierzby, wsłuchiwał się w ponury poszum szarych świerków.

Często Janek rozmarzony i upojony wonią traw, usypiał wśród tego rozhoworu i wówczas śniło się mu cudnie. Zdawało się mu, że jest gdzieś wśród lasów, tonących w potokach złotych promieni słonecznych, że wszystko wita go i szumi radośnie. A tu z pod złocistego słoneczka wychodzi do niego królewna cudna, wyśniona, taka, o jakiej mu dawniej często matula opowiadała, i wziąwszy go za rękę — wiedzie przez lasy, polanki, parowy, hen ku pałacowi, który zdala płonie od blasków słonecznych. — A wokół wszystko kłania się im w pas i ustępuje z drogi.

I marzyłby tak Janek bez końca, gdyby nie chłód wieczorny i rosa, która go z onych snów budziła. — Przypominał sobie wtedy Janek Burtę, jak to tam za niego krów pilnuje, a napewno żadna w szkodę nie wejdzie. Gdyby nie Burta, to musiałby dzień cały za krowami uganiać. Poczciwy Burta.

Rozżarzona do czerwoności tarcza słoneczna schodziła już w głębię lasu, zdając się goreć od zachodzącego słońca, gdy Janek przychodził do krów. Burta na jego widok zrywał się jak szalony, pędził w olbrzymich susach do Janka i skamląc z radości, skakał Jankowi na piersi, co często kończyło się upadkiem Janka na ziemię.

Janek gnał krowy ku rzece, w której huczących falach tonęły ostatnie blaski zachodzącego słońca. — Zewsząd z pastwisk zganiano stada bydła, które, becząc, dążyło ku zagrodom. Hen w dali, nad bezmierną równiną unosiły się już sine mgły i opary, a na zachodzie nieba, ponad czarną wstęgą lasu, widniała zorza wieczorna.

Janek, przegnawszy krowy przez most, gnał je ku wsi. Za nim krok w krok wlókł się Burta, z wywalonym ozorem, robiąc ciężko bokami. W zagrodzie gospodarz przeglądał przypędzone bydło, a Maciejowa z dziewką, niosącą skopce, szła do obory na wieczorny udój.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sen Faraona.

Nie dobrze działo się w Egipcie w czasach panowania dynastji piątej. Siedział na tronie jeden z królów, którzy rządzili państwem absolutnie, bezwzględnie, gnębiąc poddanych nadmiernemi daninami i podatkami, byle sobie i swoim zachciankom dogodzić. Za panowania owego króla skarb państwa był zawsze pusty, gdyż rozrzutny król sypał pieniądzmi na wsze strony, urządzał bale i zabawy, a poddani jego jęczeli pod ciężarem podatków, które egzekutorzy królewscy ściągali bezlitośnie z ubogiej ludności. Z początku jeszcze dość zamożna ludność płaciła chętnie należytości skarbowi, chociaż nie obeszło się już bez narzekań na wygórowane podatki.

Gdy rozrzutność króla wypróżniła jednak w krótkim czasie nieco napełniony skarb, nałożył król jeszcze większe podatki, by próżny skarb załatać. Wysłał znów egzekutorów do wsi i miast, do ściągania podatków. Coraz uboższej ludności, przychodziło coraz ciężej ponosić ciężary podatkowe, jednak ściągnięto je jeszcze w tym roku wśród przekleństwa i złorzeczeń ludności. Napełniono znowu na chwilę skarb, bo rozrzutny król uporał się znowu w krótkim czasie z pieniądzmi i skarb wypróżnił.

By zaradzić złemu podwyższył znowu podatki i kazał tym razem ściągać je przymusowo nawet przy użyciu wojska, a opornych ciężko karać. Wśród płaczu i lamentów ludności zabierano za podatek co tylko było do brania, ubrania, sprzęty, żywy i martwy inwentarz. Z biedą, ale jeszcze i w tym roku ściągnięto podatki, lecz w skarbie jak gdyby bez dna, ciągła pustka.

W następnym roku znowu ta sama historja — rozkaz ściągania podatków. Tym razem jednak ludność na widok egzekutorów już nie narzeka, nie przeklina, nie płacze, lecz śmieje się, bo egzekutor nie może już nic za podatek fantować, bo niema nic. Ludność zubożała, wycieńczona do ostateczności podatkami w latach poprzednich opuściła bezradnie ręce i uprawiała już tylko taki kawałek ziemi, by z niego się wyżywić i ziarno przed sekwestrem ukryć, nie chowała bydła ani żadnego zwierzęcia domowego, by nie miał co egzekutor zabierać.

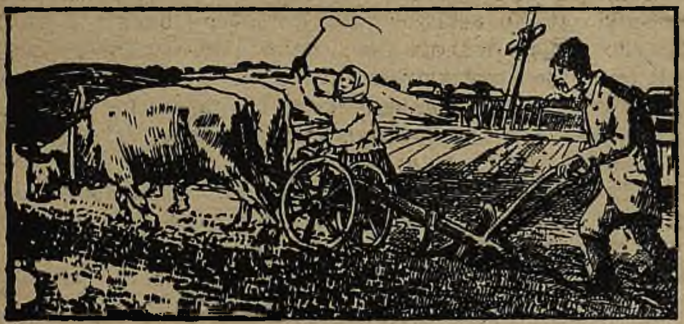
Toteż egzekutorzy, nie dokazawszy niczego, powrócili z niczem i udali się do króla ze sprawozdaniem, że dalsze ściąganie podatków w takich warunkach, jak obecnie, jest bezcelowe, bo ludność zubożała do tego stopnia, że niema jej już co za podatek zająć.

Rozgniewany król postanowił sam osobiście o tem się przekonać i wybrał się w drogę po kraju. W czasie podróży na jednym noclegu miał sen. Śniło mu się, że stanął przed nim bożek Ra-Phra, postawił próżną beczkę i kazał mu ją wodą napełnić. Król, posłuszny rozkazowi, zakasał rękawy, chwycił do obu rąk konewki i zabrał się do noszenia wody z pobliskiego jeziora. Nosi i nosi wodę bez wytchnienia i wlewa do beczki a beczka wciąż próżna. Zmordowany, zziajany, zmęczony usiadł, by pot z czoła obetrzeć. Po wypoczynku zaglądnął do beczki. Przyglądnąwszy się jej dokładniej, spostrzegł, że beczka jest bez dna i napełnić jej mimo największych wysiłków nie potrafi. Skoro przekonał się o bezcelowości dal-

szej pracy, zaczął do bożka się modlić i prosić go, by o ile ta cała historja jest snem, pozwolił mu się zbudzić, a jeżeli rzeczywistością, to niech mu zeszle śmierć, któraby go od tego uwolniła.

Po przebudzeniu się przywołał do siebie snowidzów, by mu sen wytłumaczyli. Najstarszy z nich wytłumaczył mu sen w ten sposób, że beczka bez dna wyobraża osobę króla nienasyconego nigdy, a król dźwigający wodę do beczki, to jego poddani, którzy w znoju czoła i wśród wielkich trudności starają się jego skarb bez dna napełnić, jednak żadną miarą, mimo szczerych chęci i wielkich trudów zadaniu temu nie podołają.

Król zrozumiał sen. Od tej chwili zmienił postępowanie swe wobec poddanych. Podatki obniżył i więcej nadmiarem ich poddanych nie gnębił, przekonany w śnie o bezcelowości tego. *Piotr Węnc.*



Poradnik gospodarczy.

Nowy typ ludowych szkół rolniczych.

W troskliwej dbałości o gospodarcze podniesienie wsi, do którego najpewniejsza droga prowadzi przez należyte zawodowe wyszkolenie młodych rolników i gospodyń, stara się Wydział oświaty rolniczej Ministerstwa rolnictwa — którego to Wydziału naczelnikiem jest obecnie inż. Jan Jedynak — o wprowadzenie pewnych zmian w programie i w typach obecnych, ludowych szkół rolniczych męskich. Zmiany te mają na celu związać szkołę możliwie najściślej ze środowiskiem, nie wyrywać uczniów od swego warsztatu pracy, a wreszcie umożliwić korzystanie ze szkół i młodym samodzielnym gospodarzom.

Warunkom tym mają uczynić zadość 1½-roczne (3-semestrowe) szkoły rolnicze męskie, których uczniowie przez dwie po sobie następujące zimy, po 5½ miesiąca każdej zimy będą się uczyli podstaw naukowych produkcji roślinnej i zwierzęcej, tudzież wiadomości społecznych, obywatelskich i tych nauk ogólnokształcących, które rolnikowi są niezbędne w należytem prowadzeniu gospodarstwa wiejskiego i w spółdzielczem życiu wsi, tudzież we wzorowem spełnianiu obywatelskich obowiązków w gminie, powiecie i w państwie. Miesiące letnie, dzielące obie zimy spędzi każdy uczeń we własnem gospodarstwie, przyczem ma on przeprowadzić praktycznie szereg wskazanych sobie przez szkołę zadań z uprawy roślin i roli, z przygotowania paszy, z urządzenia gnojowni, kupy kompostowej itp. Wykonanie tych zadań będzie kontrolowane przez nauczycieli szkoły rolniczej, którzy przy tej sposobności będą udzielali porad gospodarczych, ułatwiali uczniom rozumny postęp rolniczy, a co również bardzo ważne, będą sami zaznajamiać się ze stanem i potrzebami, tudzież możnościami gospodarstw włościańskich swego okręgu, co musi wpłynąć na upraktycznienie życio vo nauczania w miesiącach zimowych. Uczniowie nie- którzy mogą wyjątkowo praktykę letnią odbywać w gospodarstwie szkolnem, które zimą da wszystkim uczniom sposobność praktyki hodowlanej, zaznajomienia się z maszynami i narzędziami, z przechowaniem zbóż i nasion w spichrzu i z wymogami hygjeny gospodarskiej. Niektóre szkoły, które prowadzą warsztaty szkolne kołodziejsko-stolarskie, zaznajomią uczniów i z tymi rzemiosłami, tak pożytecznemi dla gospodarstwa wiejskiego.

Do tych 1½-rocznych szkół rolniczych mają być przyjmowani przedewszystkiem ci młodzieńcy wiejscy, którzy odbyli służbę wojskową, lub są od niej uwolnieni, a mają objąć gospodarstwo. Skoroby ilość takich kandydatów była niewystarczająca, to dyrekcje szkół przyjmą i kandydatów młodszych, możliwie z ukończonymi 18-tu lat życia. Kandydaci winni mieć ukończoną szkołę powszechną i stwierdzić w podaniu, że wrócą po szkole rolniczej na gospodarstwa rolne.

Nauka w szkołach rolniczych udzielaną jest bezpłatnie, a za całkowite utrzymanie w internacie szkolnym uiszczać mają rodzice, lub opiekunowie uczniów niewielkie opłaty (25—35 zł.) miesięcznie. Stypendja rządowe i samorządowe ułatwią uczniom pilnym uiszczanie tych opłat w obniżonej wysokości.

Szkoły takie organizują się w Małopolsce obecnie w Łososinie Wielkiej w powiecie Limanowa — i w Mokrzyszowie pow. Tarnobrzeg, w których nauka rozpocznie się w drugiej połowie listopada 1931. — W przyszłym roku przejdzie na ten typ szkoła rolnicza w Suchodole pow. Krosno, a typem zbliżonym jest szkoła rolnicza w Horodence.

Wydaje się, że ten typ szkół będzie dla gospodarskich warunków wsi w Małopolsce najwięcej odpowiedni, bo umożliwia i naukę i pracę na własnym zagonie, a nadto ułatwia uiszczanie opłat, rozkładając ten ciężar na dwa okresy.

Inż. Jan Masior
Dyr. szkoły roln. w Mokrzyszowie.

Popiół i sadza.

Późną jesienią i zimową porą w każdym domu zużywa się wiele drzewa na opał. To też w wielu okolicach kraju, przejeżdżając przez wsie, widzisz przed każdem niemal domostwem szare smugi popiołu przez gospodynie na ulice wyrzucanego. Jest to dowód, jak u nas ludzie nie umieją cenić najużyteczniejszych rzeczy i marnują dobrowolnie swój majątek. Trzeba bowiem wiedzieć, że popiół jest jednym z najlepszych nawozów. Gdy go wysypiesz na ogród czy na rolę, to zasila ziemię o wiele skuteczniej nawet, naiżeli najlepszy obornik. Szczególniej dobrze oddziaływa popiół na kartofle i rozmaite ogrodowizny. W każdem więc porządnem gospodarstwie należy popiół skrzętnie zbierać i chować, a jak się go znaczniejszą ilość zgromadzi, wysiać z wiosną na ogród, gdzie mają być posadzone ziemniaki i warzywa.

Ale prawdziwie użytecznym jest tylko popiół drzewny, popiół zaś z węgli kamiennych niema prawie żadnej wartości.

Równie dobrym nawozem jak popiół są sadze z pieców i kominów, więc kto może, niechaj i ten użyźniający ziemię materjał gromadzi.

Popiołu drzewnego i sadzy stosunkowo bardzo niewiele na mórg ziemi potrzeba, aby ją użyźnić. Wystarczy na to dwa — trzy korce, a skutek będzie wyborny. Również i na łąki popiół jest doskonałym nawozem i przyczynia się bardzo nietylko do powiększenia ilości siana, lecz i polepszenia jego dobroci.

KRONIKA.

Proces więźniów brzeskich. W ubiegłym tygodniu rozpoczął się w Warszawie proces więźniów brzeskich. Akt oskarżenia zarzuca im, że dążyli oni do obalenia rządu i ujęcia władzy w swe ręce. Przesłuchiwani oskarżeni do winy się nie poczuwają, gdyż, jak twierdzą, działali zupełnie legalnie, co jest w myśl konstytucji dozwolone. Proces potrwa kilka tygodni, gdyż na rozprawę powołano 186 świadków. Na ławie oskarżonych zasiadają pp.: Witos, Kiernik, Putek, Bagiński, Barlicki, Prager, Ciołkosz, Mastek, Dubois, Sawicki i Liberman.

Zamach teścia na zięcia. W ubiegłym tygodniu w restauracji II klasy na dworcu kolejowym w Rzeszowie nadleśniczy Adolf Fabias, liczący lat 79, a zamieszkały w Rzeszowie strzelił 5 razy do swego zięcia Romana Frankiewicza, inspektora starostw województwa łódzkiego. Frankiewicz, raniony 3 strzałami, odwieziony został do szpitala, gdzie dokonano operacji, Fabiasa zaś aresztowano. Powodem zbrodniczego zamachu były niesnaski rodzinne.

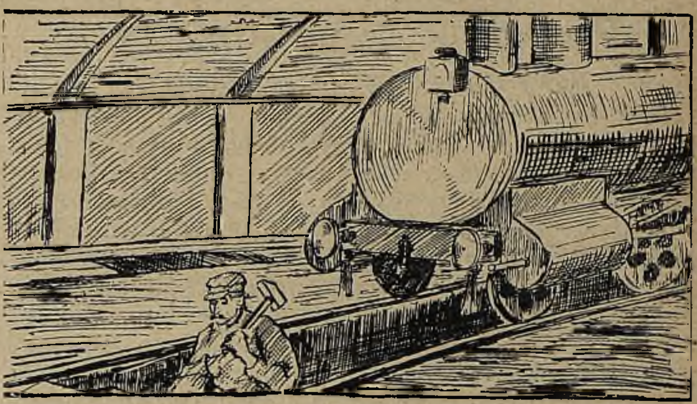
Podpalenie z zemsty. W zagrodzie Józefa Kozaka w Zarzeczu obok Mościsk powstał pożar, wskutek czego spłonęło 7 zabudowań gospodarczych wartości 23.500 zł. W czasie dochodzeń stwierdzono, że pożar powstał wskutek podpalenia z zemsty, którego dopuścił się Konstanty Snopków z Zarzecza. Sprawca został ujęty i przyznał się do winy, a ponadto przeciw niemu uzyskano niezbite dowody. Powiadomiony o wypadku prokurator w Przemyślu zarządził postępowanie doraźne. toteż Snopków za parę dni stanie przed sądem doraźnym w Przemyślu. Grozi mu kara śmierci.

Dramat miłosny. Na Śląsku pod Szopienicami policja znalazła zwłoki mężczyzny, obok którego leżała dziewczyna, dająca slabe oznaki życia. Dochodzenia wstępne wykazały, że zabitym jest Kazimierz Stolarski, słuchacz prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, kobietą Zunka Lajblerówna. Oboje pochodzą z Jordanowa. Mieszkali ostatnio w Katowicach w hotelu „Central". Wychodząc z hotelu, zostawili u portjera list, by ich szukać przy przystanku tramwajowym. Zwłoki Stolarskiego odstawiono do kostnicy, Lajblerówna w stanie beznadziejnym przewieziona została do szpitala w Katowicach. Prawdopodobnie Stolarski postrzelił Lajblerównę, a następnie popełnił samobójstwo. Przyczyną jest niezgodzenie się rodziców na ślub z powodu różnicy wyznania.

Napad bandycki. W Przebożu, położonym o kilkanaście kilometrów od Piotrkowa do mieszkania kupca drzewnego Jana Malca przybył jakiś człowiek z oświadczeniem, że ma interes do Malca. Wobec nieobecności kupca w domu oświadczył przybyły gotowość zaczekania na jego powrót. Gdy żona Malca w pewnym momencie odwróciła się od przybysza, ten zadał jej cios młotkiem w głowę a następnie poderżnął jej gardło. Po dokonaniu tej zbrodni bandyta rozbił kredens, w którym znajdowała się gotówka. W tym momencie powrócił do domu Malec, który zaczął się dobijać do drzwi, wówczas zbrodniarz oddał w kierunku Malca 3 strzały rewolwerowe, które jednak chybiły. Bandyta rzucił się do ucieczki. Zaalarmowany posterunek policyjny zarządził pościg za uciekającym. Po półgodzinnej gonitwie bandyta padł trupem od kul posterunkowego policji. Jak stwierdzono, zabitym jest Antoni Szeget, który brał również udział w napadzie na listonosza pod Wielkiemi Młynami pod Częstochową. Malcowa wskutek zadanych ran zmarła.

Krwawy napad na jubilera w Warszawie. W Warszawie dokonano krwawego napadu rabunkowego na jubilera, niosącego biżuterję na przechowanie ze sklepu do domu Właściciel sklepu jubilerskiego, 42-letni Abram Adelbank, po zamknięciu sklepu na ul. Dzielnej 9, spakował cenniejszą biżuterję wartości 10.000 zł. w dwie paczki i zabrał ją ze sobą do domu na ul. Nowolipie. Na klatce schodowej w drugiem podwórzu jubiler został znienacka napadnięty przez dwóch drabów, którzy uderzeniami rewolweru ogłuszyli kupca i zrabowali mu paczki z biżuterją i portfel z gotówką. Bandyci wybiegli na ulicę, jeden z nich strzelał ustawicznie z rewolweru w kierunku ścigających policjantów. Jeden z bandytów zbiegł z łupem, drugi wpadł do bramy i, strzelając ciągle, wybiegł drugiem wyjściem. Ścigający go posterunkowy oddziału konnego strzelił do uciekającego i ranił go w głowę. Ciężko ranny, jak się później okazało 30 letni Karol Niziński, padł z rewolwerem w ręku na jezdnię nieprzytomny. Pogotowie ratunkowe odwiozło go do szpitala. W czasie ucieczki postrzelono 6 osób, z tego jednego posterunkowego bardzo ciężko. Bardzo ciężko jest również ranna pani Górkowa w lewe ramię ze strzaskaniem kości. Z przeprowadzonego przez policję śledztwa wynika, że napad na jubilera planowany był od kilku dni. Bandyci, chcąc działać bezpieczniej, zgasili na miejscu napadu, to jest w klatce schodowej światło gazowe. Policja jest na tropie zbiegłego z łupem bandyty.

Niezwykły wypadek. Na linji kolejowej Poznań-Krzyżowniki torem kolejowym szedł dróżnik Janecki, niosąc na ramieniu młot, celem dokonania naprawy toru.



Niespodziewanie z tyłu nadjechał pociąg, a lokomotywa popchnęła dróżnika przed siebie. Janecki stracił przytomność i upadł, na szczęście jednak między szyny, po których pociąg przeszedł, nie dotykając zupełnie leżącego tam dróżnika. Wobec tego Janecki prawie cudem wyszedł z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Potworny okaz zbrodniarza. W więzieniu w Grudziądzu przebywa potworny istotnie okaz zbrodniarza. Popełnił on w swem niedługiem stosunkowo życiu tyle najrozmaitszych przestępstw i zbrodni, że ogólny wykaz kar, na które został skazany, wynosi 124 lata i 6 miesięcy więzienia. Szedł on po tej drodze zbrodni stopniowo. Najpierw 3 miesiące więzienia, 2 miesiące, 1 miesiąc. Lecz już w następnej pozycji nagły podskok: 4 lata ciężkiego więzienia. I odtąd następują po sobie w długim szeregu już takie kary, jak pięć, sześć, ośm lat, aż wreszcie doczekał się kary śmierci przez powieszenie, która dzięki ułaskawieniu została zamieniona na 15 lat ciężkiego więzienia. Lecz na tem nie koniec. Po tej karze śmierci ciągnie się jeszcze dalszy długi szereg kar za najróżniejsze zbrodnie i przestępstwa, wśród nich 5 kar po 10 lat ciężkiego więzienia, raz 15 lat, wreszcie 1, 3 i 6 lat za napady rabunkowe, włamania, gwałcenie kobiet i t. d. Po zliczeniu poszczególnych pozycyj okazuje się, iż rzadki ten bandyta ogółem za swoje

zbrodnie skazany został, pomijając karę śmierci, na 124 lata i 6 miesięcy ciężkiego więzienia.

Aresztowanie znachora. Policja grudziądzka wpadła na trop afery oszukańczej, która działalnością swą obejmowała teren całej Polski. Oto niejaki Kościemski ogłaszał od dłuższego czasu w dziennikach, że jest w posiadaniu amuletu przeciw wszystkim prawie chorobom (!) Amulet ten, t. zw. „Samaris“ był zupełnie prosty. Za pomocą specjalnej sztancy wytłaczał on znaczki wielkości monety dwuzłotowej, z blachy miedzianej i cynkowej. Dwie takie blaszki oszust zaszywał do małego woreczka płóciennego, do którego przyczepiał sznureczek, aby blaszki można było zawiesić na szyi. Ten to „wynalazek“ sprzedawał na terenie całego kraju. Oszustem zaopiekowały się wkońcu władze policyjne. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono około 150 gotowych blaszek, oraz druki propagandowe. Okazało się, że Kościemski poprzednio sprzedawał również przez siebie „wynaleziony“ środek przeciw wzdęciu u bydła. Wyspecjalizowany w tym zawodzie, przerzucił się następnie do „leczenia“ ludzi. Że tacy oszuści pojawiają się tu i ówdzie, temu dziwić się bardzo nie można, ale dziwić się trzeba, że są jeszcze tacy głupcy, którzy dadzą im się naciągać.

Bunt włościan przeciw sekwestratorowi. Wieś Łomazaki w powiecie kowelskim była widownią poważnych ekscesów, które dzięki jedynie taktowi policji, nie przybrały większych rozmiarów. Otóż do Łomazak przyjechał sekwestrator podatkowy z Kowla, który w towarzystwie 2 posterunkowych i sołtysa przystąpił do czynności urzędowych. W momencie, kiedy sekwestrator zasekwestrował u jednego z gospodarzy wieprza, którego włożono na wóz, zebrał się tłum włościan, liczący 400 osób, który odebrał zajęte rzeczy, a otoczywszy sekwestratora i policjantów, uniemożliwił im dalszą czynność egzekucyjną. Na miejsce przybyło 2 nowych posterunkowych, którzy uwolnili z opresji sekwestratora i zatrzymali 7 osób, głównych prowodyrów zajścia. Zatrzymanych ulokowano chwilowo w jednej z chat. Wnet całą tę chatę, gdzie przebywali aresztowani, otoczył tłum włościan, uzbrojonych w widły i pałki. Policja ustąpiła pod naporem tłumu, który uwolnił zatrzymanych. W nocy podpalono z zemsty zabudowania sołtysa, który asystował sekwestratorowi. Całe gospodarstwo spłonęło. Na drugi dzień przybył do Łomazak silny oddział policji z Kowla Po przeprowadzeniu dochodzeń aresztowano kilku prowodyrów zajść. Aresztowanych odstawiono do Kowla. Nierozumny czyn owych włościan należy bezwarunkowo potępić, gdyż sekwestrator spełnia tylko rozkaz swoich władz przełożonych, a czynność ta nie sprawia mu żadnej przyjemności. Taksamo sołtys również spełniał tylko swój obowiązek. Ci, którzy mieli zapłacić jakieś należności i tak je będą musieli zapłacić, a oprócz tego ci, którzy stawili zbrojny opór, za czyn swój będą odpowiadali przed sądem i będą musieli odcierpieć surową karę.

Więźniowie udusili komunistę. Z pogranicza donoszą, iż w areszcie śledczym w Kojdanowie na Białorusi sowieckiej zaszedł niezwykły wypadek. Znajdujący się w areszcie włościanie — niedoszli uciekinierzy z terenu Białorusi sowieckiej — udusili komunistę prowokatora, udającego więźnia politycznego, który zdobywszy zaufanie więźniów, denuncjował ich następnie przed władzami sowieckiemi. Jak się wyjaśniło, uduszonym okazał się Abram Mendelson vel Pupko, pochodził on z Wileńszczyzny, gdzie w swoim czasie brał czynny udział w działalności jaczejek komunistycznych. Zdemaskowany w swej występnej działalności przez władze polskie, zbiegł do Białorusi sowieckiej, tu jednak zaangażował się do działalności prowokatorskiej, która skończyła się dla niego tragicznie.

Niezwykła miłość synowska. Gazety wiedeńskie donoszą o niezwykłej zaiste miłości synowskiej. Oto 37 letni rzemieślnik, stolarz, Józef Bobrowski, dowiedziawszy się o samobójstwie swej 70-letniej matki, przy zwłokach jej odebrał sobie życie przez powieszenie. Bliższe szczegóły tej wzruszającej historji są następujące: Od szeregu lat Bobrowski utrzymywał swą starą matkę, dla której był synem wprost idealnym. Przywiązanie jego do rodzicielki było wprost na ustach wszystkich, a sąsiedzi nie mieli słów uwielbienia dla dobrego syna. Mimo próśb matki, która pragnęła, aby syn się ożenił i założył sobie własne ognisko domowe, nie chciał tego uczynić, obawiając się, aby, jak to często bywa, między jego żoną a matką nie powstały konflikty, na które on nie mógłby patrzeć Przed rokiem jednak poznał Bobrowski młodą i piękną dziewczynę, z zawodu fryzjerkę, Karolinę Brendel, w której zakochał się bez pamięci. Przekonawszy się o wzajemności dziewczyny, mimo to był na tyle konsekwentny, że nie chciał poświęcić matki dla żony. Pani Bobrowska widziała jednak udrękę syna i wszelkiemi sposobami starała się skłonić go, aby jednak nie gwałcił swego uczucia i ożenił się z ukochaną dziewczyną. Syn jednak przysiągł jej, że jak długo będzie żyła, on chce pracować tylko i wyłącznie dla niej... Matka w dziwny sposób pojęła te słowa. Zrozumiała, że jest zawadą dla syna i przy pomocy trucizny pozbawiła się życia, donosząc w liście pożegnalnym o motywach czynu. Nieszczęśliwy syn tak się przejął tym desperackim krokiem matki, że powiesił się na sznurze w kuchni swego mieszkania. Wszelka pomoc okazała się spóźniona. Tajemnicę tej tragedji wyjaśnił list pani Bobrowskiej, skierowany do jej syna.

Żywe dziecko w trumnie. W małej miejscowości pod Leibnitz zdarzył się tak częsty w ostatnich czasach wypadek przebudzenia się z letargu dopiero w trumnie. Dwuletnie dziecko pewnego gospodarza zmarło w kołysce. Zawezwany lekarz stwierdził zgon. Dziecko włożono do trumienki i, zapaliwszy świece, ustawiono na stole w pokoju, poczem zrozpaczona matka poszła do kościoła, by załatwić odpowiednie formalności, związane z pogrzebem. Jakież było jej początkowe przerażenie, a później radość, gdy wróciwszy w godzinę później z kościoła, zastała swojego chłopczyka siedzącego w trumnie i przecierającego sobie oczęta. Jak się okazało po bliższem zbadaniu lekarskiem, tym razem już przez całe konsyljum, złożone z kilku lekarzy, dziecko ma skłonności do epilepsji. Popadło ono tylko w stan kataleptyczny, tak, że wszystko przemawiało za tem, że nie żyje. W dwa dni później dziecko wesoło bawiło się na dworze.

Jak chcesz, kochanie! W Berlinie przepełnionym autobusem, oprócz innych pasażerów, jachała jakaś starsza pani i młodzieniec, który palił cygaro. „Tutaj palić nie wolno!“ oburzyła się owa pani. „Jak chcesz kochanie!“ odpowiada pan i odrzuca cygaro. Starsza pani jest dalej oburzona. „Skąd pan przychodzi mówić do mnie ty!“ „Nie bądź dziecinna, kochanie!“ „Wypraszam sobie podobną bezczelność“. „Nie unoś się, kochanie, postarzejesz się prędko!“ Pasażerowie śmieją się do rozpuku, ale jakiś pan ujmuje się za starszą panią. Awantura między panem, palącym cygaro a starszym panem, broniącym obrażonej pani. Pasażerowie mieszają się do sprzeczki. Przeciwnicy znieważają się czynnie. Powstaje rwetes, konduktor zatrzymuje autobus i przywołuje policjanta. Policjant wprowadza ład i legitymuje wszystkich, prócz pana, który palił cygaro i jego rywala. Ci dwaj zdołali bowiem w zamieszaniu opuścić autobus.

i dzielą się gdzieś w ukryciu zdobytym łupem: portfelami, torebkami i zegarkami. Okazało się, że był to podstęp złodziejski celem spowodowania awantury i ograbienia podróżnych.

Wynik wyborów w Anglji. W ubiegłym tygodniu odbyły się wybory do parlamentu angielskiego. Jak było do przewidzenia, konserwatyści odnieśli olbrzymie zwycięstwo, gdyż na 615 mandatów zdobyli 467, a razem z innymi stronnictwami popierającymi rząd 563, podczas gdy opozycja uzyskała tylko 52 mandaty. Zaznaczyć należy, iż w poprzednim parlamencie przed rozłamem wśród socjalistów Labour Party i liberałów konserwatyści mieli 260 posłów, opozycyjna zaś Labour Party 289 i popierający ją liberałowie 58 posłów. Reszta mandatów była chwilowo opróżniona lub należała do „dzikich".

Zbrodnia zakochanego młodzieńca. W angielskiem mieście Brigg w hrabstwie Lincolnshire dokonano niedawno strasznej zbrodni, która wywarła wstrząsające wrażenie w całej okolicy. U farmera Jacklina pracował w roli pomocnika 16 letni Karol Smith, który zakochał się w młodej i pięknej żonie farmera, Annie Jacklin. Gdy wszelkie zabiegi miłosne nie odniosły skutku, Smith strzelił w usta Anny Jacklin i zabił ją. Młody zboczeniec usiłował następnie zamaskować swój ohydny czyn. W tym celu zawlókł trupa pani Jacklin do pobliskiej sadzawki, odrąbał głowę, którą zakopał w ogrodzie, a tułów wsadził do worka, który dopełnił kamieniami, poczem odrutował i wrzucił do wody. Straszną tę zbrodnię wkrótce odkryto. Bowiem puszczone w ruch psy policyjne odnalazły odrąbaną głowę. Młodego Smitha aresztowano, a obecnie zasiądzie on na ławie oskarżonych. Grozi mu kara śmierci przez powieszenie.

Testament starej dziwaczki. Mnóstwo kłopotów sprawiła swoim spadkobiercom 72 letnia bogata mieszkanka Paryża, Henriette Menton, która cały majątek, składający się z dóbr ziemskich i dwóch kamienic, zapisała swojej siostrzenicy Emilji Adolphe, pod warunkiem, że majątek ten przejdzie na jej wyłączną własność dopiero wtedy, gdy zdechnie ostatnie stworzenie w menażerji, którą założyła z wielką pieczołowitością. Staruszkę zwano z tego powodu „mateczką zwierząt". Hodowała ona psy, koty, żaby, gołębie, złote rybki, papugi i t. d. Zwierzętami temi miał się opiekować ogrodnik oraz pokojówka starej maniaczki, którzy w nagrodę za to otrzymali dożywotnią rentę. Wszyscy byli niezadowoleni z tego testamentu. Menażerja liczyła coprawda wiele starych kotów i psów, ale były i takie, które ujrzały światło dzienne w przeddzień śmierci swej pani. Niemniejszy kłopot przedstawiały papugi a szczególnie karpie, które według znawców mogą przeżyć 100 lat. A jednak... w siedm miesięcy po śmierci testatorki jakaś tajemnicza epidemja wymiotła świnki morskie, angorskie koty, zielone papugi, złote rybki i szare karpie z powierzchni ziemi. Wyznaczeni testamentem opiekunowie tych zwierząt zapewniali, że biedne stworzenia zdechły ze zmartwienia, nie mogły przeżyć straty opiekunki. Ogrodnik kupił sobie willę i auto, pokojówka starej manjaczki założyła sobie elektryczny magiel, o którym marzyła od urodzenia, ażeby przy jego turkocie wygadać się do syta, a siostrzenica zmarłej, Emilja Adolphe, weszła w posiadanie całej masy spadkowej. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zawistni krewni, którzy oskarżyli całą trójkę, że papugi zostały zaduszone, koty otrute, karpie ugotowane, a z gołębi zrobiono pasztet. Domagają się zatem unieważnienia testamentu, którego warunki nie zostały spełnione. Odbędzie się więc proces kryminalny o oszustwo spadkowe oraz o przestępstwo przeciwko prawu ochrony zwierząt, istniejącemu we Francji. Oryginalny ten proces jest przedmiotem wielkiego zainteresowania nietylko w samym Paryżu ale i w całej Francji.

Odciął głowę swojemu rywalowi. Potworne morderstwo, dokonane na osobie kamieniarza, poruszyło przed kilku dniami małą wieś Presles la Brie we Francji. Trzej mieszkańcy tej wsi znaleźli w krzakach koło gościńca strasznie zmasakrowane zwłoki kamieniarza Bernarda Biey. Tułów pokryty był cały ranami, zadanemi nożem, literalnie zamieniony na krwawą miazgę. Głowę, odciętą od tułowia, znaleziono w pewnej odległości, ukrytą w krzakach. Policja przeprowadziła śledztwo i odkryła mordercę w osobie drugiego kamieniarza Stefana Hermana, mężczyznę o atletycznej wprost sile. Herman przyznał się do zbrodni. Oddawna już odgrażał się, że zabije Bernarda Biey, którego uważał za niebezpiecznego rywala, mogącego pozbawić go posady. W dniu morderstwa tłukli obaj kamienie na gościńcu. Po skończonej pracy, gdy Biey chciał odjechać na swoim rowerze, Herman rzucił się na niego z nożem i po krótkiej walce formalnie go zakłół. Potem odciął zabitemu głowę od tułowia i ukrył ją wraz z tułowiem w krzakach. Po dokonaniu strasznego czynu odjechał spokojnie do swego domu. Żona Hermana, widząc go zbroczonego krwią, zapytała, co się stało?

— Zabiłem Biey i odciąłem mu głowę — odparł spokojnie Herman i rozkroił sobie chleb nożem, którym zabił swego rywala.

Cynicznego mordercę odstawiono do więzienia.

Dwa wesela młodej pary. Rzadko kiedy obchodzono jakąś uroczystość ślubną z takim hałasem, jak wesele kuzyna króla bawełnianego Baumgarthena. Ktokolwiek w Chicago coś znaczy, czy to przez zamożność albo stanowisko, otrzymał na wesele to zaproszenie. Było to w całem tego słowa znaczeniu „wesele miljarderów". — Samą uroczystość kościelną przygotowano z ogromnym przepychem. Z samochodów luksusowych wysiadały przed kościołem panie, które dźwigały na sobie bajeczne fortuny w postaci najcudowniejszych klejnotów. W kościele zebrało się najwykwintniejsze towarzystwo, czekając na zjawienie się młodej pary. Minęło dziesięć minut po upływie oznaczonego czasu, minął kwadrans, a o młodej parze „ni widu ni słychu". Towarzystwo zaczęło się niecierpliwić; wreszcie niepokoić. Do domu weselnego wysłano gońców i wreszcie cała rzecz znalazła „bardzo proste" wyjaśnienie. Otóż młoda para nie mogła wziąć ślubu, gdyż potajemnie pobrała się już zupełnie prawidłowo przed 3 laty. Sprawa wydała się dopiero w ostatniej chwili, kiedy „nowożeńcy" mieli się udać do kościoła. Nie mając innego wyjścia, wyznali wówczas rodzicom, że kochając się nad życie, nie mogli i nie chcieli czekać tak długo, jak tego wymagali rodzice, wzięli więc ślub trzy lata temu i urządzili ucztę weselną w skromnem kółku przyjaciół, po czem się rozeszli do domów rodziców. Zaskoczeni rodzice „młodej pary" oczywiście tego prawnego stanu rzeczy zmienić nie mogli. Odwołali więc niepotrzebny już obrzęd ślubny, ale nie odwołali wesela. Gości weselnych proszonych podejmowano z hojnością, na jaką pozwolić sobie mogą miljarderzy, w hotelu. „Młoda para", która miała odwagę przeciwstawić się woli papy i mamy, była przedmiotem serdecznego zainteresowania i owacyj. Oświadczyła ona później, że milszem jednak było jej pierwsze wesele.

RZECZY CIEKAWE.

Praca i płaca pszczoły.

Może najmniej produktywną pracą na świecie jest praca naszej kochanej pszczółki. Oczywiście ściśle obliczyć jej nie można, ale można to uskutecznić z wielkiem prawdopodobieństwem. Postaramy się to uczynić. A więc najpierw pewne dane. Jak twierdzą pasiecznicy, aby pszczoła naniosła jedną komórkę miodu w plastrze, musiałaby znosić ją do ula 40 do 60 razy. Przyjmijmy ilość przeciętną 50 razy. Otóż w jednej ramce ula słowiańskiego jest około 6.400 komórek. Aby więc pszczoła zapełniła miodem cały plaster, musiałaby polecieć za nim 320.000 razy. Gdyby długość każdego jej lotu wyniosła tylko 1 kilometr, (a częstokroć wynosi znacznie więcej), to, by zapełnić jeden plaster miodem, musiałaby odbyć 320.000 kilometrów drogi, czyli, że mogłaby oblecieć ośm razy dookoła kulę ziemską.

Jak wiadomo, z jednego pełnego plastra ula słowiańskiego można otrzymać przeciętnie 2 i pół kilograma miodu. Przyjmijmy cenę za kilogram 5 zł. Czyli, że pszczółka za odbycie drogi 320.000 km. zarobiłaby 12 zł. 50 gr., a za jeden lot zarobiłaby niecałe 4 tysięczne grosza.

Gdyby w godzinę potrafiła odbyć 10 takich lotów, to zarobiłaby w ciągu tej godziny aż 4 setne grosza, a za „ośmiogodzinny dzień pracy" uzyskałaby około jedną trzecią część grosza. Dla zarobienia całego grosza, musiałaby zatem pracować przez trzy dni po ośm godzin dziennie. Praca ciężka, tem cięższa, że pszczoły nie zaprowadziły jeszcze u siebie ośmiogodzinnego dnia pracy, ale pracują wówczas, gdy do tej pracy mają sposobność. Możliwem tedy jest, że gdy dzień długi, a kwiaty dobrze „miodują", to jedna pszczoła w ciągu jednego dnia, pracując w czerwcu i lipcu od świtu do nocy, potrafi zarobić na dzień nawet całego grosza. Bywa i przeciwnie. — Gdy kwiaty nie dopiszą, gdy znajdują się daleko od ula, gdy i inne przeszkody staną na drodze, to biedna pszczoła nawet przez tydzień nie zarobi grosza.

Skąd jednak wobec tak małej wydajności pracy pszczelej biorą się w ulu takie duże ilości miodu? — Każdy bartnik powie nam przecież, że silny pień w dobrym roku dać może 50, 60, a nawet i więcej kilogramów miodu. Otóż dokonuje tego praca zbiorowa. W średnio silnym pniu znajduje się w lecie 60.000 i więcej pracownic.

Gdyby każda z nich wyleciała za miodem tylko raz na dzień, potrafiłyby one w ciągu dnia zapełnić 1.200 komórek w plastrze. Aby zapełnić cały plaster o wadze miodu 2 i pół kilograma, musiałaby każda z nich wylecieć 5 do 6 razy dziennie. A to przecie przy znanej pracowitości pszczół nie jest zbyt dużo. Jeżeli podwoimy wylot dziennie każdej pszczoły, to otrzymamy 5 kg. miodu w ciągu dnia, a za 10 dni będziemy mieli już 50 kg. oczywiście miodu. Trzeba z tego odliczyć dość duży procent miodu na karmienie młodych, ale należy też pamiętać, że silny pień liczy nieraz 80—100 i więcej tysięcy pszczół — i, że pożytek na kwiatach trwa dłużej w ciągu roku, aniżeli 10 dni.

Dla sprawdzenia powyższych obliczeń możemy też wziąć i inne dane. A więc, aby otrzymać 40 kilogramów miodu, musielibyśmy mieć 16 pełnych ramek ula słowiańskiego, licząc każdą ramkę na dwa i pół kilograma. W 16 ramkach mieści się około 102 tysiące komórek. Jeżeli przyjmiemy, że na zapełnienie jednej komórki trzeba 50 lotów, to na zapełnienie 102 tysięcy komórek, czyli 16 pełnych plastrów, trzeba takich lotów przeszło 5 miljonów. Na pozór jest to praca tak olbrzymia, iż zdaje się niepodobieństwem jej wykonanie. W ulu, od którego możemy się spodziewać 40 kilogramów miodu w średnio dobrej okolicy, powinno być pszczół do 100 tysięcy. Jeżeli 5 miljonów lotów rozdzielimy pomiędzy 100 tys. pszczół, to na pszczołę przypadnie tylko 50 lotów. Ponieważ zaś u nas główny pożytek trwa przeciętnie około 10 dni, więc na dzień na każdą pszczołę przypadnie zaledwie 5 lotów. Przy znanej pracowitości naszych pszczółek jest to nic nie znaczący drobiazg i zapewne każda pszczoła tych lotów w ciągu dni dokonuje znacznie więcej, a wszystkie razem znoszą miodu znacznie więcej, aniżeliśmy podali powyżej. Trzeba jednak pamiętać o tem, że pszczoły zużywają na wykarmienie młodych pszczół znaczne ilości miodu, a nadto zostawia się im na zimę dość dużą ilość zniesionej słodyczy (10 do 12 kg.).

Z tego, cośmy powyżej powiedzieli, można ocenić, że praca pszczół choć bardzo mozolna i mało wydatna, ale wskutek swej zbiorowości, przynosi olbrzymie korzyści.

Nasze obliczenia opieraliśmy na roku dobrym dla pszczół w okolicy nienadzwyczajnej, ale też i nienajgorszej. Gorzej jest, gdy pożytek na kwiatach nie dopisze. Wówczas choć pszczoły pracują bardzo wytężająco, rezultat ich pracy jest znacznie skromniejszy. Tak było n. p. w roku bieżącym. Tego roku w ciągu minuty w silnym pniu w czasie głównego pożytku wracało do ula 250 pszczół. Wedle poprzednich obliczeń, pszczoły te w ciągu minuty mogłyby zapełnić 5 komórek plastra miodem, w godzinę zapełniły 300, a za 14 godzin (tyle mniej więcej godzin trwa lot pszczół w czerwcu i lipcu) mogły zapełnić przeszło 4.000 komórek, a więc dwie trzecie części plastra. Na wagę wyniosłoby to 1 kg. 60 dkg. Za 10 dni dałoby to zaledwie 16 kg. w jednym pniu. I tak też było istotnie w tym roku! *Antoni St. Bassara.*

Dlaczego zegarki się spóźniają?

Pewien uczony, który zakończył badania tej tajemnicy, twierdzi, że powyższe zjawisko następuje wskutek zmiany temperatury i powietrza, jeżeli jest ono przesycone większą ilością wilgoci (co zwykle zdarza się w lecie). Krople tej wilgoci są tak małe, że trudno je dostrzec ludzkiem okiem. Właściciele zegarków, mieszkający nad morzem, mają zawsze z niemi kłopoty, podczas gdy ci, którzy rezydują w wielkich suchych miastach, stale mogą cieszyć się punktualnemi zegarkami, o ile oczywiście, nie posiadają żadnych innych uszkodzeń.

Mężowie świętością żon.

U ludów pierwotnych kobieta ulegała całemu szeregowi przepisów, częstokroć najdziwaczniejszych, napozór niedorzecznych, wynikających z samolubstwa mężczyzn.

Na Filipinach, naprzykład, kobieta winna się wystrzegać zbliżania do miejsca, gdzie się tatuują mężczyźni, gdyż wskutek tego zmalałyby jej... oczy.

Chinka nie może jadać z mężczyznami, należącymi do rodziny.

Kobietom Kafrów nie wolno doić krów, ani dotykać wołów, których hodowli mężczyźni oddają się gorliwie, nie mogą też kobiety wstępować do „cotta" to jest miejsc, gdzie gromadzą się męscy członkowie rodziny.

U Hotentotów zbyt wielkie obżarstwo grozi kobiecie śmiercią.

U Fantistów w Afryce, podsłuchiwanie tajemnic męża, karanem jest ucinaniem uszu, a zdradzanie tych tajemnic ucinaniem warg.

Na Tahiti nie wolno kobiecie dotknąć zbroi, ani przyrządów rybackich męża, głowy męża i ojca, — oraz wszelkiego przedmiotu, który się z nią zetknął; nie wolno jej jeść pospołu z nimi, ani wkraczać do miejsc ich narad.

Na wyspach Markizów zakazane jest kobiecie wchodzić do łodzi, ponieważ ryby nie będą się łowiły; tam, jak i na Tahiti, nie wolno kobietom kosztować żadnego z wykwintnych pokarmów, jak np. orzechów kokosowych, mięsa kurzego, a przedewszystkiem — świńskiego. Na wyspie Rapa wszyscy mężowie stanowią świętość dla żon i są przez nie karmieni.

Na Nowej Zelandji nie wolno kobiecie dotykać pokarmów, przeznaczonych dla mężczyzn, nawet kiedy chdzi o męża, brata lub syna.

Na Nowej Kaledonji muszą kobiety zbaczać z drogi, skoro tylko spostrzegą mężczyznę i mieszkają w odosobnionych mieszkaniach.

Naruszenie powyższych przepisów stanowiących właśnie tak zwane „tabu" czyli rzecz zakazaną, niedopuszczalną, uważane jest za zbrodnię i karane jest surowo.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Hornik** w W.: Legendę wraz z piękną winietką zamieścimy wkrótce w miejsce pierwszej powieści. Szkoda, że Pan nie zrobił więcej ilustracyj. Adres p. M. W. brzmi: Elektrownia Rzeszów. **Władysław Furmanek** w R.: Poemat „Ku odrodzeniu" bardzo dobrze napisany, ale dla „Roli" stanowczo zadługi, więc go nie wydrukujemy. W nowelce „Czy słyszysz?" styl bardzo ładny, rzecz napisana z polotem, w utworze znać wybitny talent, ale temat bez znaczenia. Niech Pan próbuje napisać coś z życia wiejskiego o treści głębszej, a prędzej zobaczy Pan pracę swoją w druku. **Józef Sikora** w P.:
dzej zobaczy Pan pracę swoją w druku. **Józef Sikora** w P.:
treść bez znaczenia. Całość nie wykończona. Zbyt długich wierszy z zasady w „Roli" nie drukujemy. **Jan Stokłosa** w E.: Pamfilem nazywali dawni Polacy jedną z kart do grania, dla której obecnie utarła się nazwa: „dama". Zwano ją także „wyżnikiem" w odróżnieniu od „niżnika", czyli dzisiejszego „chłopaka". **Karolina Sokołowska** w O.: Niesłusznie uważają niektórzy świerzb za jakąś „paskudną" chorobę. Może na nią zachorować nawet najniewinniejszy i najczyściejszy człowiek. Przyczyną tej choroby są pasożyty zwierzęce t. zw. świerzbowce, które żyją pod naskórkiem różnych zwierząt i ludzi. Są to maleńkie pajączki, które wgryzają się w skórę i ryją pod nią kanaliki, w których samice składają jajka (do 50). Z tych po 6 do 7 dniach wylęgają się młode, które kopią dalsze chodniki, tak że mogą w razie zaniedbania stoczyć człowieka. Są jednak łatwe do usunięcia przez wcieranie maści siarczanej, naftalinowej lub dziegciu. — Trzeba to robić trzy razy dziennie przez kilka dni, nacierając dokładnie całe ciało, przyczem należy bieliznę zmieniać za każdym razem, a zdjętą wygotować w gorącej wodzie. Po trzech do czterech dniach takich nacierań należy chorego wykąpać i ubrać w czystą bieliznę, a świerzb więcej się nie pojawi. Świerzbu łatwo dostać od chorego człowieka przez podanie mu ręki i t. p. **Kazimierz Zaczek** w D.: Założycielem Baligrodu był Piotr Bal, z rodu znanego w ziemi sanockiej; żył za panowania króla Zygmunta III. Zapisał on się w ludzkiej pamięci także i tem, że dbał o dobro ludu, zakładał szkoły i fundował kościoły. Opryszków w górach tępił i ścigał, a nawet wystawił zamek Baligród, aby czuwać nad bezpieczeństwem ludzi.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Część ciała.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Bugu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Plakat.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Liczba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzęta dzikie wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zamek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Służy do kąpania wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest w kościele.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Niemczech.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto na kresach wsch.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Państwo w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.

Litery pierwszego rzędu (wstawione w miejsce kwadracików) czytane z góry na dół dadzą nam imię i nazwisko muzyka polskiego, słynnego dzisiaj na cały świat.

2. Szarada.

(Ułożyl Józef Górecki z K.).

Pierwsze to jest trzecie
O tem dobrze wiecie,
Drugie to grecka litera,
Całość człowieka zawiera.

3. Kalambury.

(Ułożył Józef Górecki z K.)

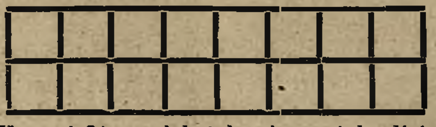
Okres czasu wspak i wspak roślina,
Imię męskie nie nowina.

4, Zagadki z zapałek.

(Ułożył Brat January z D.).

I.

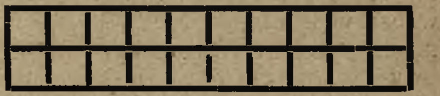
Ułożyć 42 zapałki w następującą figurę:



Usunąć 21 zapałek tak, aby została djeta.

IV.

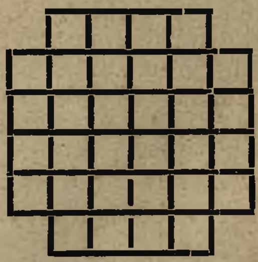
Ułożyć 52 zapałek w następującą figurę:



Usunąć z niej 30 zapałek, aby utworzyła się płachta.

5. Krzyż magiczny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).



Utwór Słowackiego wspak
Imię żeńskie.
Dawna broń.
Państwo.

Wyrazy czytane poziomo i pionowo są jednakowe.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 13 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 43 „Roli": 1. Arytmogryf: Jan Sobieski — Kara Mustafa. 2. Zagadki humorystyczne: I. Wybór. II. Szampan. III. Parada. IV. Papilot. V. Abażur. VI. Redaktor. VII. Kupiec. VIII. Alpaka. 3. Kalambury: I. Muchawiec. II. Sanna. III. Kołomyja. IV. Kosma. 4. Bilety wizytowe: I. Kierowniczy ruchu. II. Redaktor odpowiedzialny. III. Komendant przysposobienia wojskowego.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Wojciech Lorenc z Ł., Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Jan Sławiński z H., Michał Nalepa z U., Dr Jan Kapliński z Z., Jadwiga Drożdżówna z O., Stanisława Michalska z T., Ks. Michał Mirecki z U., Jan Chrzan z O., Helena Skąpska z P., Piotr Dominik z W.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Chrzan z O. i Jadwiga Drożdżówna z O.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nieporozumienie.

— A ty Icku, byłeś kiedy w Rzymie?

— Ny, coby nie.

— Nu! nie w tym, co papież siedzi, ale w tym „żymie“, co sznieg pada.



Wyjaśnił.

Pani (do żebraka): — Co to? Wczoraj byliście ślepym, a dziś jesteście niemową?

Żebrak: — Gdyby pani dobrodziejka nagle odzyskała wzrok, to z pewnością teżby mowę utraciła!



Inny gust.

— Tak silnie uderzyliście pięścią swą żonę w głowę, że jeszcze dziś ma oko niebieskie. Co macie na swoją obronę?

— Przez urazy wysokiego sądu, moja baba mo ocy bure, a mnie się podobają niebieskie.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 3 listopada b. r.

Pszenica	24·00—24·50	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto	24·00—24·50	Ziemniaki stoł.	4·75—5·00
Owies	23·50—24·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	21·00—22·00		
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	38·00—39·00
Groch zwyk.	26·00—29·00	Mąka pszen.	43·00—44·00
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby pszen.	13·00—13·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	13·00—14·00
Koniczpastew.	15·00—17·00	Mąka czerw.	18·00—19·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 3 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·80 zł.
Woły	od 0·70 do 0·85 zł.	Cielęta	od 1·20 do 1·33 zł.
Krowy	od 0·44 do 0·56 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizne	1·30 do 1·47 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·60 do 1,80

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł

Żywoty Świętych Pańskich na wszystkie dni w roku, dzieło opracowane przez ks. Dra W. Galanta, ozdobione 366 ilustracjami, 740 stron, w ozdobnej oprawie. najnowsze poprawione wydanie, cena 12 zł.

Życie i śmierć Pana Jezusa. (Przez krzyż do nieba). »Droga krzyżowa«, oraz Żywot Najśw. Marji Panny, opis miejsc cudami słynących i Żywoty Świętych w jednym komplecie, format 22×34 cm, w ozdobnej oprawie, cena 25 zł.

Księgarnia „Czeczwa", Rożniatów, Małop. ul. Strutyn W. 154.

Ciekawe książki

w ozdobnych oprawach z kolorowemi obrazkami, nadające się na podarunki dla dzieci:

SEN WOJTUSIA LOTNIKA . . . . . . Zł. 2.40
BAJKI CZARODZIEJSKIE . . . . Zł. 2.40
ZBIÓR BAJEK I BAŚNI . . . . Zł. 2.40
BAJKI I POWIASTKI . . . . Zł. 2.40

Za nadesłaniem Zł. 2.40 wysyła 1 książkę pocztą opłatnie
ADMINISTRACJA „ROLI", Kraków, św. Tomasza 32.
Powyższe 4 książki razem za nadesłaniem Zł. 8.50.

Do nabycia w Administracji „Roli":

„FLIRT POLSKI"

nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską, 40 kart z pouczeniem w futerale **Zł. 1.15.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH

czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych**, oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.25.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY

zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.25.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ

na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok, oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika**, zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron. **Zł. 1.25.**

WIELKI ILUSTROWANY

Sennik egipski

zaczerpnięty ze starych egipsko-arabskich dokumentów.

Zawiera **2.500 wykładów snów** w alfabetycznym porządku, **90 rycin** ilustrujących sny, przewidzenia i zjawiska, **36 rycin kabały** słynnej wróżki Lenormand z Paryża. Objaśnienia o snach, przewidzeniach, wyroczniach, znaczeniach i zjawiskach. **Artonancje, czyli sztuka wróżenia z kart**, z ręki, palca i czoła.

Powyższy sennik wraz z opłatą pocztową **1.85 Zł.**

Za zaliczką nie wysyłamy. Po zawiadomieniu wysyłamy czek.

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzycznym.



SKRZYPCE



skorygowane do użytku szkolnego i koncertowe

Struny z najlepszych fabryk
Wszelkie naprawy uskutecznia po cenach konkurencyjnych.
Praca bardzo staranna.

Instrumenty dęte z fabryki:

BOCHLAND & FUCHS

na składzie w wielkim wyborze poleca:

Pracownia Instrumentów Muzycznych

JÓZEFA ZAJĄCA

Kaków, ul. Florjańska 21 I. piętro.